Nr. 14 (1267). Warszawa, 2 (15) Kwietnia 1905 r. **Rok XXV.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

TREŚĆ POLITYKA: Spisek paryski. — Tydzień polityczny. — ŻYCIE SPOŁECZNE: Litwini i ich stosunek do nas (dok.), p. St. Staniszewskiego. — Listy galicyjskie, p. Dalekiego. — Uwagi w sprawie wychodźstwa zamorskiego, przez Obserwatora (c. d.). — Ruchy chłopskie na Węgrzech, p. K. Krauza. — FEJLETON: Pamiętnik. — BADANIA NAUKOWE: Ignorabimus, p. St. Kalinowskiego. — Przeciw gruźlicy. — LITERATURA I SZTUKA: Rachilde, p. Zbigniewa Brodzkiego. — Nowe książki, p. Zb. — O strajku górników Belgijskich, p. Iwińskiego. — Życie publiczne w Rosyi. — Kronika.



Spisek paryski.

W pierwszych dniach b. m. telegraf z Paryża doniósł o wykryciu spisku na dzisiejszy rząd francuski i samą rzeczpospolitą. Zamysł ujawniony wydał się tak zuchwałym, tak dziecinnym, że z początku w doniesieniu dostrzeżono tylko jeden z figlów policyjnych. Za taki figiel podawali go przedewszystkiem nacyonaliści i bonapartyści, interesowani w zaprzeczeniu przedwcześnie wykrytych knowań. Ten, kto im uwierzył, zbłądził, spisek jest prawdą, chociaż sam stosunek środków i sił, działających do celu, w umysłach logicznych mógł, a nawet musiał, z początku wzbudzić poważne powątpiewanie. Stosunek ten sam przez się sprawców ośmieszał; całajednak śmieszność przedsięwzięcia nie usunęła faktu podjęcia go przez nowych spiskowców. Działali oni na rzecz Wiktora Napoleona, zamieszkałego w Brukselli. Kto sobie przypomni zamachy w Strasburgu 1836 r. lub w Boulogne 1840; ich idyliczną bezstronność, żakowskie prawdziwie środki materyalnego działania, — ten nie potrzebuje czekać na wyniki śledztwa sądowego, aby nowe pokuszenie się Bonapartystów w danych warunkach siły, czyli pomimo bezsilności, uznać za możliwe.

Osnuwana na tej bezsilności myśl o nieprawdopobieństwie rządziła i deputowanym Rabierem, który pierwszy jeszcze w końcu lutego dowiedział się o sprzysiężeniu. Uwiadomiony przez jednego z oficerów w Rochefort, Métivira, nie zrobił żadnego z wiadości użytku, tak mu się zrazu płochą wydała. Ale gdy po miesiącu otrzymał od tegoż samego oficera nowe, już z naciskiem uczynione, doniesienie, musiał swoje stanowisko człowieka poważnego, niewierzącego w głupstwa, porzucić i uwiadomił pp. Etienne'a, ministra spraw wewnętrznych i Rouviera, prezesa gabinetu. Podobno i sam p. Loubet poszedł za przykładem Rabiera i machnął rękę na spisek. Ministrowie odrazu poruszyli sprawiedliwość. Delegowany sędzia Cheneboit, idąc za wskazówkami Métiviera, odbył w Paryżu rewizyę u kapitana Tamburiniego i handlującego gałganami Meyera. Znalazł papiery, mundury, broń i naboje. Upoważniona przez niego policya dokonała dalszych rewizyj i aresztowań. Dostali się do więzienia oprócz Tamburiniego, wyglądającego na przewódcę, dwaj oficerowie Volpert i Bunau, jakiś podoficer, dwu Meyerów, lekarz Lacheze, członek Ligi praw człowieka Hauptman, agent giełdy Hausen, kilku zagrożonych aresztowaniem umknęło. Nie obcymi spiskowi mają być gen. Negrier, bawiący teraz w Konstantynopolu, i słynny Guyot de Villeneuve, odkrywca denuncyantów w armii.

Pięćset mundurów przeznaczonych było dla tyluż podoficerów i żołnierzy wojska kolonialnego, które służy tylko na mocy kapitulacyi i w kraju, nie stanowiąc jeszcze jednostki taktycznej, nie ma też nad sobą właściwej karności i zażywa pewnej swobody ruchów. Garstka taka, oczywiście, niczegoby nie dokazała wznieceniem rewolucyi: osią też spisku był zamysł nagłego zaskoczenia prezydenta rzeczypospolitej w pałacu Elizejskim, gdzie straż jest bardzo słaba, i ministrów główniejszych, którzy jej wcale nie mają, z wyjątkiem rzecz prosta, ministrów wojny i marynarki. Miano dokonać zamachu jednocześnie w końcu marca lub na początku kwietnia. Werbując oficerów w Vouziers i w samym Paryżu, obiecywano każdemu z nich z góry 10,000 fr. na koszta niebezpieczeństwa. Nawet i to głupstwo nie powinno osłabiać wiary w istnienie spisku, o którego rzeczywistości świadczą zarówno materyalne dowody, jak ucieczka zagrożonych. Nie każdy spisek zamyka się w granicach rozsądku, stosuje się do pewnego prawdopodobieństwa stanowiącego istotę gry losowej, jaką każdy z natury swojej być musi. Czyn może być sam z siebie tak głupim, że nie zasłuży nawet na zaszczyt kary; ale zamysł, idea, namiętność, która go z siebie, wydała zasługuje zawsze na uwagę. Francya ma wrogów wewnętrznych, których lekceważyć jej nie wolno, choćby nawet obecnych spiskowców, jako żaków — wolno puścić miała.

Sprzysiężeni na rzeczpospolitą, najgłębiej jej nienawidzący nacyonaliści gotowi są zawsze każde drgnienie, bądź z jednego bądź z drugiego obozu monarchicznego wyszłe, wrazić w masy bałamucone wrzekomemi hasłami zepsucia, nieszczęścia i zatracenia, w które rzeczpospolita wtrącać ma Francyę. Oni też i w obecnym wypadku bezczynnymi nie byli. Słynny Syveton miał u siebie jedną z agentur spisku. Zarówno ta burząca nienawiść, która od piętnastu lat utrzymuje we Francyi ciągłe wrzenie wewnętrzne, jak ambicya egoistyczna pozostałych jeszcze dynastów w obu autoramentach — znajdują się w stanie ustawicznego spiskowania przeciwko rzeczypospolitej, a jednej i drugiej przemierza dochowuje kler katolicki. Całe nieprawdopodobieństwo powodzenia, cała śmieszność usiłowań, cała przewaga trudu dziejowego, który monarchii zostawił już tylko przejście przez próg gwałtu, mordu i zniszczenia nie wystarczają na powstrzymanie zapędów

Gdyby tylko udało się znaleźć na swe usługi jakiego genialnego, w żelazną wolę i sztukę zbrodni publicznej zbrojnego awanturnika, wszystkie te wrogie rzeczypspolitej siły stanęłyby do walki poważniejszej od obecnego sprzysiężenia. Uczucie popełnianego występku nikogo nie powstrzyma. Najbrudniejsza myśl zdobędzie się zawsze na najczystsze hasło. Pretendenci czują się wolnymi od obywatelstwa; dla nich prywatny ich interes jest publicznym interesem tych, nad którymi chcą panować. Sofistyka znajdzie zawsze przekonywającą wymowę. I dlatego dziwić się nie można nienawiści republikanów i radykalistów francuskich ku wszystkim żywiołom, pragnącym Francyę pchnąć wstecz ku tej formie rządu, która stawiając tron, obok niego zaraz ustawia i ołtarz.

Co żywe, życia swojego broni.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Niespodziankę sprawił światu adm. Rożestwienskij. Dnia 8 b. m. okręty z jego floty ukazały się pod Singapore, u krańca Malakki. Ile ich było? Niewiadomo. Najpierwsze doniesienie wyszło od jakiegoś telegrafisty, który widział aż 47 okrętów wszelkiego rodzaju, rozmiaru i przeznaczenia, więc i węglowce i przewozowce, płynące wspaniale po cztery w rzędzie, pod dumnie powiewającemi flagami: byłaby to zatem cała eskadra Madagaskarska. W dwadzieścia cztery godziny później już ta armada zmalała: część tylko, i to mniejsza, pod kontr-adm. Enquistem przepłynęła przez cieśninę Malakka, większa obrała sobie drogę południową, wzdłuż zachodnio-południowego wybrzeża Sumatry, i tę zapewne sam admirał Rożestwieński miał pod swą komendą. Ów pierwszego widzenia orszak miał się jakoby kierować wprost na północo-wschód, więc na morze Chińskie; przewidywane zjawienie się okrętów rosyjskich na wodach Jawy, nawet pod samą Batawią, mogło dotyczeć tylko oddziału większego, opływającego wyspy holenderskie, a mającego podobno opłynąć archipelag Filipiński, aby, prąc się jaknajdalej na wschód, najbezpieczniej też dotrzeć do Władywostoku. Takie są główne wiadomości. Jaki jest w nich udział rzeczywistych faktów a jaki bujnej fantazyi telegrafistów i korespondentów dzienników angielskich i holenderskich—powiedzieć trudno. Dość, że flota rosyjska o całe trzy tygodnie wyprzedziła trzeźwo przewidywany termin, a stać się to mogło tylko przy fałszywem oznaczeniu daty jej odpłynienia z pod Madagaskaru; wypadek ten wydarzyć się musiał nie 22-go marca —data najpóźniejsza — ale w samym początku tegoż miesiąca.

Flota ma być mocno dotknięta przez podróż i przez sam dwumiesięczny przystanek pod Madagaskarem. Dlatego telegraf kieruje ją do Saigonu, do francuskiego przyjacielskiego portu: tam naprawi swe uszkodzenia i wypocznie. Adm. Rozestwienskij nie chce jakoby stawać na teraz jeszcze bitwy wielkiej—zapewniają telegrafiści: zapewnienie zbyteczne wobec powyższego doniesienia. Flota znużona i osłabiona, a przytem co do jakości swej nie pierwszorzędna, o staczaniu wielkich bitew myśleć nie może; za nią myśli przeciwnik, czujący się na siłach. Wskazywanie Saigonu dla danego celu jest już wprost braniem Francyi na swą odpowiedzialność. Pomimo całej przyjaźni p. Delcassé'go, a z dzienników poważniejszych *Temps'a*. rozsądek wątpić musi o zdolności uczuć francuskich do takiego bohaterstwa, jakiemby musiało być otworzenie przystani, doków i arsenałów saigońskich dla floty rosyjskiej podczas wojny. Przyjaciel, który nie chciał i nie chce dać pieniędzy—nie zechce także parzyć sobie palców w ogniu wojennym, co byłoby najmniejsze z przewidywanych skutków gościnności. Demonstracyjne ruszenie się floty angielskiej z Hong-Kongu ostrzegło już Francuzów o następstwach. Anglia nie kwapi się z pomocą dla Japonii, może jej nawet w rzeczywistej już, palącej potrzebie nie dać, może jej, mimo traktatu, wręcz odmówić; jej rozsądek jednak wciąż czuwa nad tem, aby interesa angielskie, mogące się powikłać z japońskiemi, szkody nie poniosły.

Gdzie, jest Togo? W każdym razie nie było go w cieśninie Malakki, w angielskich Straits, kiedy je przepływały okręty rosyjskie. Możliwą jest wszakże zasadzka, choćby tylko torpedowców i szybkolotnych krążowników, u wysp Sundzkich. Ponieważ przepłynięcie drogi między lądem Azyi a Sumatrą stało się już faktem dokonanym, przypuszczać trzeba obranie przez Toga stanowisk dla Japończyków najwygodniejszych, t. j. pomiędzy Formozą a wybrzeżem południowo-wschodniem Chin, u wysp Pescadores, które już przed Nowym Rokiem umacniano i zaopatrywano, jak również i u Tai-uanu (Formoza). Przy tak obranem stanowisku i ów projekt—może tylko dziennikarski — opływu wschodniego bez walki byłby mocno narażonym na niepowodzenie: walka mogłaby się zakończyć dla adm. Rożestwenskij'ego pomyślnie, ale admirał nie mógłby jej uniknąć.

Kamimura ma rozpocząć działania przeciw Władywostokowi. Taki sam cel na lądzie jakoby wytknięto Kurokiemu, który ma opanować Ningutę, aby potem spaść na port rosyjski. Dziś wydaje się to jeszcze dalekiem, jak daleka jest Nin-guta od obecnych stanowisk tej części armii japońskiej, która ma działać we wschodniej dzielnicy wielkiej, nadzwyczaj rozległej widowni wojennej, roztwartej przez pogrom mugdeński. O wiele prawdopodobniej przedstawia się wysadzenie umyślnych wojsk na wybrzeżu północno-wschodniem Korei, przy zatoce Piotra Wielkiego. Działania na lądzie idą nadzwyczaj wolno i ze strony japońskiej wyglądają tak, jakby ich celem było tylko przytrzymywanie gen. Liniewicza pozornymi pochodami i zaskoczeniami, przy rzeczywistem niewysuwaniu się po za linię Czan-tu-fu — Sinanpu. Jeżeli rzeczywiście Nogi dąży do Tsi-tsi-karu, Kawamura obchodzi lewe skrzydło rosyjskie jeszcze przed Sungary, a Oku zmierza do Kirynu, to Ojama nie może mieć sił wielkich na powyższej linii, raczej obronnej, niż zaczepnej.

Zatarg o Marokko poważnieje. Dnia 6 b. m. król Edward w przejeździe do Marsylii i dalej na morze Śródziemne miał w Pierrefite, na północ od Paryża, rozmowę w cztery oczy z Loubetem: oczywiście, nie rozmawiano o pięknych Paryżankach. Król ma nawet w swej podróży zawadzić o Tanger. aby rycerską postać ces. Wilhelma swoją własną przysłonić przed zmysłowym wzrokiem Maurów. Może tylko dzięki owej rozmowie rząd francuski przez usta p. Delcassé'go częstujący Izbę nieszkodliwą lurką (wyjaśnienie ministeryalne z dnia 7 b. m.) odważył się na tęższy już czyn. W trzy dni po naradach w Pierrefite jakiś oficer francuski, dowodzący na pograniczu algierskiem, rozbił Bu-Amarę, onego pretendenta - rozbójnika, o którym przed kilku laty wiele pisano w dziennikach. Była to przysługa wyświadczona samemu sułtanowi, było przypomnienie mu dział i karabinów francuskich, ale był też i czyn wyzywający Niemcy. Od odpowiedzi, jaką na wyzwanie dadzą, zależeć będzie dalszy rozwój ciekawego zatargu.

Dnia 6 b. m. zawitał ces. Wilhelm do Neapolu; na powitanie go przybył król Wiktor Emanuel. W toaście jego nie ma wcale trójprzymierza, ale się znalazło w toaście jego gościa, oczywiście, nieszczerze, dla przyzwoitości tylko, w każdym jednak razie było. Każdy wie, że istotnem przymierzem w trójprzymierzu jest tylko zespolenie się Włoch z Niemcami, jak w roku 1866.

Sejm ces. niemiecki poszedł dnia 7 b. m. wypoczywać po trudach. Przed odejściem, Bernard Chrzanowski miał dobrą mowę w polemice z Bülowem. Rzadkie są z obozu polskiego strzały godne wielkiej walki, wielkiego jej przedmiotu. Koło wielkopolskie, pozbawione sił świeżych, lękające się ich, niezdolne do szczerego tętna krwi, cierpiące na swem czele takich niby patryotów, a rzeczywiście umizgaczy, jak ks. Jaźdźewski — trochę wyszlachetniało po tej mowie posła poznańskiego — czy na długo? Nowych ludzi, dusz nowych, nieobłudnych, wierzących w cel, pragnących celu—chłopów i mieszczan istotnie żywych, życie zbiorowe podtrzymujących — potrzeba tej nieszczęśliwej dzielnicy — i na stanowiskach wewnętrznych, i nazewnątrz, w przedstawienictwach sejmowych.

ŻYCIE SPOŁECZNE

Litwini i ich stosunek do nas.

(Dokończenie).

Los historyczny narodu litewskiego umieścił go pomiędzy obcemi mu językiem i pochodzeniem Rosyą, Polską i Niemcami, z których każde w życiu Litwy odgrywało ważną rolę i każde wsiąkło w siebie to wszystko, co przez wieki po nad lud w niej wyrosło. Dzisiejszy naród litewski w tej części, która stanowi przedmiot mego artykułu, podzielił swoje losy z narodem polskim, ale rezultaty tego podziału wypadły niejednakowo. Wtedy, kiedy w Polsce rozwinął się stan szlachecki i zagarnął w swoje ręce wszystkie sprawy oraz reprezentacyę krajową, na Litwie wyższe sfery przyjęły kulturę polską i litewskim pozostał tylko lud. W dobie więc, kiedy naród litewski zaczął wyczuwać swoją odrębność narodową, Litwinem był tylko włościanin. Walka o prawa narodowe musiała tu przeto przyjąć inny charakter, niż gdziekolwiek bądź. Do 1864 r., prawdziwy Litwin był chłopem pańszczyźnianym; chłopem zależnym nie od bratniego sobie mową i obyczajem Litwina; lecz od dziedzica, którego nie rozumiał, którego rzadko widywał, z którym nie miał nic wspólnego; od dziedzica, który często nie rozumiał jego języka, jego potrzeb, jego biedy, jego nędzy. Jeżeli słusznie lub niesłusznie chłop pańszczyźniany w całej Europie nienawidził swego pana, czuł niesprawiedliwość krępujących go więzów i ograniczeń, to Litwin czuł to tem silniej, że ten pan był mu obcym. Ten stosunek zaznaczył się bardzo wyraźnie zaraz po uwłaszczeniu i bodaj czy nie był pierwszą pobudką w dziele narodowego uświadomienia Litwinów.

Pańszczyźniany chłop litewski, rozumiał tylko swoją zależność od polskiego pana; wiekowa niedola zrodziła nienawiść. Nienawiść, poczęta w odrębności narodowej, rozwinęła się na tle ekonomicznem. W pierwszych czasach po uwłaszczeniu, Litwin, w każdym surdutowcu, widział pana, w każdym panu Polaka, w każdym Polaku typ dawnego dziedzica, wyzyskującego jego pracę, jego czas, jego ludzkie prawa.

To uczucie stanowi do dziś dnia główną cechę stosunków narodowych litewsko-polskich, a jeżeli przechodzi na grunt czysto narodowy, to tylko, jako echo dalekiej przeszłości, jako dalsza walka z panami polskimi lub ich przedstawicielami w osobie włościan polskich. Walka ta w ostatnich czasach przybrała charakter bardzo przykry i smutny, terenem jej bowiem jest kościół, istotą rzeczy — sposób chwalenia Boga.

Jak wykazałem wyżej ludność litewska w wielu miejscowościach mieszka wspólnie z polską. Mieszanina ta uwydatnia się szczególniej na granicach etnograficznych w gubernii Suwalskiej, w powiatach Kalwaryjskim, Sejneńskim i Suwalskim, oraz w miasteczkach i osadach, przeważnie zamieszkanych przez Polaków. Lud polski z litewskim styka się wszędzie — styka się w chacie, przy robocie na polu, w karczmie, w szkole i w kościele. Wszędzie w sposób przyjacielski, z wyjątkiem kościoła, jedynego miejsca, gdzie każdy ma możność upomnieć się o swe prawa językowe.

Z dawnych czasów, kiedy kolatorowie kościołów byli ich dobrodziejami i opiekunami, utrwalił się zwyczaj, że w parafiach z ludnością mieszaną — kazania, ewangelia i śpiewy odbywały się w języku tylko polskim. Z chwilą kiedy lud litewski zaczął uświadamiać sobie swą odrębność narodową, pierwszym przejawem tego uświadomienia było żądanie nabożeństwa i śpiewów w języku rodowitym, litewskim. Reforma taka nie mogła przejść spokojnie nawet w miejscowościach z ludnością rdzennie litewską: kościoły w znacznej większości stawiane były w osadach lub przy większych dworach: i tu i tam była ludność polska, i tu i tam broniła ona swych historycznie zdobytych praw. Księża-Litwini stanęli po stronie swego ludu i żądania jego uwzględniali często z pewnego rodzaju brutalną niechęcią względem Polaków. Zaostrzyło to stosunek dworu i polskiej ludności do plebanii. Zamiast rozstrzygnięcia kwestyi drogą wzajemnego porozumienia przez uwzględnienie słusznego żądania stron obu i urządzenia kolejnych nabożeństw polskich i litewskich tam, gdzie ludność jest mieszana, a wyrzeczenie się praw do języka polskiego w miejscowościach rdzennie litewskich, ludność polska ze swą inteligencyą z jednej strony, ludność litewska z księżmi z drugiej poczęły szykanować się wzajemnie, skarżyć, waśnić się, aż w końcu przyszło w kościołach do rozlewu krwi i co za tem idzie do zamykania kościołów.

Zapobiedz temu mogły tylko jednostki rozumniejsze stron obu. Niestety, chętnych do zgody śród walczących obozów nie znalazło się; przeciwnie, ci co powinni byli walkę uśmierzać, sami ją podniecali, i dziś stosunki litewsko-polskie, na tle kościelnym tak stanęły, że wszelkie porozumienie wydaje się niemożliwem a przynajmniej bardzo trudnem. Trudność ta wynikła z rozdmuchiwania nienawiści rasowej przez inteligencye obu stron: to, co początkowo wywoływano stucznie, dziś objawia się z siłą żywiołową. Aby zmniejszyć zło trzeba się uderzyć w piersi i powiedzieć sobie, że dla Litwina tak drogą jest pieśń litewska, jak dla Polaka polska, że jeżeli przez 100 lat nie mógł on rozumieć nauki, którą ksiądz mu wykładał, to powinniśmy żałować, że tej krzywdy wcześniej nie naprawiliśmy. Bezwzględne uznanie jego praw, tak niegodnie dotychczas deptanych, i jego samego natchnie poszanowaniem praw drugiego, obudzi w nim poczucie sprawiedliwości. Innych powodów do sporu dziś nie mamy, wreszcie w ten sposób dadzą się załatwić wszystkie. Ludzie, którzy mają przed sobą ogrom pracy, którzy muszą wynagrodzić całe lata przymusowego snu, nie powinni tracić sił na waśnie bezpłodne. A nigdy chyba nie było chwili, któraby wymagała od naszych narodów więcej pracy na każdem polu, niż doba dzisiejsza.

St. Staniszewski.

LISTY GALICYJSKIE.

—•—

Proces samborski. — Miejska Kasa chorych w Krakowie.

Bardzo charakterystyczny proces odbył się w Samborze. Przed kratkami sądowemi stawało 6-ciu robotników, oskarżonych o zorganizowanie bandy, która wznieciła szereg pożarów w Borysławiu podczas pamiętnego strajku robotników naftowych. Zbrodnia ta według ustaw austryackich karana jest śmiercią, wobec czego opinia publiczna z łatwo zrozumiałem zajęciem śledziła przebieg tego skandalicznego pod wielu względami procesu.

Akt oskarżenia twierdzi, co następuje: W lipcu r. 1904-go w Borysławiu wybuchł straj robotników, zajętych w kopalniach wosku i nafty. Strajk ten nie miał widoków powodzenia, gdyż nie wszyscy wzięli w nim udział, a ze strony władz poczyniono kroki celem ochronienia pracodawców oraz chętnych do pracy przed gwałtami strajkujących. Z powodu tych gwałtów uwięziono dużo robotników, a kilku z nich trybunał Samborza zasądził na różne kary za zbrodnię gwałtu publicznego. To skłoniło strajkujących do zorganizowania się w bandę, która zapomocą ognia, szerzącego zniszczenie w kopalniach, chciała zmusić pracodawców do ustępstw a na towarzyszach pracujących wywrzeć zemstę. Pożary wybuchły w ośmiu kopalniach wosku i oleju skalnego. Dopiero w listopadzie 1904 r. udało się żandarmowi Wyspiańskiemu przy pomocy robotnika Jana Petrowa wykryć podpalaczy. Głównym sprawcą był tokarz Stanisław Szelingowski, który bandę zorganizował i wzniecał pożary przy pomocy palacza kopalnianego Romana Chowycza oraz wyrobnicy Katarzyny Szczepaniakowej.

Proces samborski budził powszechne zajęcie z tego względu, że tendencyjnie nadano mu charakter polityczny. Narodowo-demokratyczne „Słowo Polskie“, które podczas strajku borysławskiego występowało z niesłychaną zaciętością przeciwko robotnikom i drukowało informacye, będące echem poglądów strony przeciwnej, chciało za wszelką cenę udowodnić, że podpalanie kopalń jest dziełem przywódców borysławskiej organizacyi robotniczej. To też kiedy trzej z tych przywódców — Rychlicki, Inwał i Gabryel zostali zaaresztowani „Słowo Polskie“ nie posiadało się z radości. Radość ta jednak trwała bardzo krótko, gdyż wyżej wymienieni robotnicy zostali puszczeni na wolność po wyjaśnieniu, że nic wspólnego z podpaleniem nie mieli.

Oskarżonych broni dwóch adwokatów miejscowych oraz przyjezdni z Krakowa— dr. Heski i dr. Marek. Obrońcy bardzo umiejętnie podkopują i unicestwiają materyał, obarczający oskarżonych a nagromadzony nie bez wysiłków przez śledztwo, przeprowadzone tendencyjnie. Po zatem obrona ma jeszcze do zwalczenia rozmaite „zwyczaje miejscowe“, które się utarły w Samborzu a gdzieindziej dawno już poszły w zapomnienie. Trzeba pamiętać, że Sambor jest owem sławnem miastem, w którem jeszcze przed paru laty torturowano więźniów, zmuszając ich do zeznań zapomocą żelaznej „maszynki“, ściskającej palce. Otóż do samborskich „zwyczajów miejscowych“ należy prowadzenie oskarżonych przez miasto, skutych na rękach i nogach i rozkuwanie ich w sali rozpraw, a następnie zakuwanie przed odprowadzeniem do więzienia śledczego. Obrońcy protestowali przeciwko temu barbarzyństwu i zanim nadeszło rozporządzenie wyższych władz sądowych, znoszące owo zakuwanie, z własnych funduszów najmowali dorożki dla oskarżonych, chcąc im oszczędzić wstydu przebywania miasta w kajdanach.

Całe śledztwo było prowadzone według „zwyczajów miejscowych“. Pokazało się to już pierwszego dnia rozprawy, kiedy oskarżeni Kandefer i Chomycz odwołali swe zeznania poczynione w śledztwie, gdyż pierwszy działał pod wpływem żandarma, który nie przebierał w środkach, a drugi wziął wszystko na siebie, jako kawaler chcąc uwolnić z więzienia ludzi familijnych. Chomycz zresztą chciał to zrobić wcześniej, ale nie dopuszczono go do sędziego śledczego i nie pozwolono mu wysłać telegramu do obrońcy d-ra Liebermana. Inny oskarżony Kuźma odwołał też wszystko, co był mówił na śledztwie pod wpływem sędziego śledczego.

Petrow, za sprawą którego zostali aresztowani wszyscy podsądni, do stowarzyszenia robotniczego nie należał, ale podczas strajku kręcił się wśród robotników. W pierwszym tygodniu przyszedł on do oskarżonego Szelingowskiego i zażądał od niego dynamitu. Szelingowski go skrzyczał i zakazał mu chodzić do stowarzyszenia, jednocześnie ostrzegając przed nim towarzyszów. W dwa tygodnie potem Petrow zapowiadał, że musi coś zrobić, przyczem pokazywał pudełko z watą. Szelingowski znowu go skrzyczał i zagroził, że doniesie władzom, ale, brzydząc się denuncyacyą, tego nie uczynił. Oskarżonej Szczepaniakowej proponował Petrow, żeby mu się oddała, obiecując uwolnić ją od aresztowania. Kiedy mu odmówiła, usiłował ją zgwałcić.

Pod ogniem krzyżowych zapytań obrońców Petrow traci pierwotną pewność siebie i najwidoczniej plącze się w swoich zeznaniach. Kłamstwo wyziera z jego słów, przyczem pokazuje się, że wziął 400 koron od przedsiebiorcy Sztybera za wykrycie podpalaczy i był konfidentem żandarmeryi miejscowej. Coraz wyraźniej daje się stwierdzić, że jeśli było podpalenie, to Petrow brał w nim bardzo czynny udział, a zeznania świadków zaprzysiężonych obalają to, co on mówi. Nie ulega wątpliwości, że jest on agentem-prowokatorem i że, jako taki, zajmował się podpalaniem. Obrońcom udało się zgromadzić na to dowody wystarczające, wobec czego oskarżenie, oparte wyłącznie na zeznaniach Petrowa, traci wszelką wartość. Na dobitkę jeden z oskarżonych—Cho, mycz, który w śledztwie *przyznał się* do winy—został z niej najzupełniej oczyszczony, gdyż udowodniono, że przebywał w Rumunii, kiedy zaszły owe wypadki podpalenia, o które go oskarżono.

Wobec takiego obrotu sprawy proces samborski został przerwany i odbędzie się ponownie już przed innym trybunałem. Kompromitacya samborskish władz sądowych jest zupełna, a rezultat dotychczasowy procesu można uważać za kompletną porażkę tych żywiołów, które dążyły do przedstawienia borysławskiej organizacyi robotniczej, jako bandę zbrodniarzy. Prokurator na żądanie obrońców trzykrotnie powtórzył deklaracyę, że nic nie ma do zarzucenia ani komitetowi strajkowemu, ani partyi robotniczej. Obrońcom, d-rom Heskiemu i Markowi, po ich powrocie do Krakowa zgotowano serdeczną manifestacyę wdzięczności za ich dzielną a całkowicie bezinteresowną obronę.

Chlubne świadectwo daje gospodarce zorganizowanych robotników świeżo ogłoszone sprawozdanie miejskiej kasy chorych w Krakowie. Jest to instytucya samopomocy społecznej o szerokim zakroju, obracająca stosunkowo olbrzymiemi sumami, a znajdująca się w ręku robotników. Kasa krakowska, odkąd po uporczywych staraniach i walkach została zdobyta przez dzisiejszych jej gospodarzy, rozwija się doskonale pod każdym względem. Nowy dom kasy, mieszczący ambulatorya, biura i inne

lokale instytucyi, został urządzony z zastosowaniem wszelkich wymagań hygieny współczesnej i pod tym względem przedstawia się wzorowo. W ciągu roku 1904-go zarząd kasy podwoił ilość ambulatoryów, dodając do dwóch istniejących dwa nowe. Kasa zatrudnia obecnie stale 13 lekarzy i 4 dentystów.

Wzrost zasiłków, dawanych przez Kasę chorym robotnikom wynosi w porównaniu z rokiem poprzednim blisko 15,000 koron, a wzrost wydatków na leczenie 10,000 koron, podczas gdy wydatki administracyjne zmniejszyły się z 17 na 16.4%. Ogółem dochody roku sprawozdawczego przyniosły 205.233 kor. (w. r. 1903 — 165.619 k.) rozchody zaś wynosiły 200.841 k. (w r. 1903—167.820 k.). Fundusz rezerwowy wzrósł z 67.306 k. na 71.698 k. Liczba ubezpieczonych w Kasie pracowników z końcem roku 1903 wynosiła 9748 (7518 mężczyzn 2230 kobiet). Z końcem roku następnego liczba ta była wyższa o 2362 (9293 mężczyzn, 2817 kobiet—razem 12,110. Pracodawców było ubezpieczonych 2259, a zatem o 36 więcej, aniżeli w roku 1903.

Wzrost wydatków na chorych tłomaczy się przedewszystkiem tem, że Kasa musi leczyć tych, których cierpienie jest stałe, którym leki przynoszą tylko chwilowe uśmierzenie bólu, nieprzywracające zdrowia. Do takich chorych należy znaczna część robotników, cierpiących na gruźlicę, wadę serca, uwiąd starczy i t. d. Są to właściwie inwalidzi, zmuszeni szukać zarobku i raz po raz zapadający na zdrowiu. Powinniby oni być uwolnieni od pracy i pobierać rentę, ale wskutek dotkliwej luki w społecznem ustawodawstwie austryackiem są oni ciężarem dla kasy chorych. Przeniesienie tego ciężaru na zakłady inwalidów, istniejące gdzieindziej, natychmiast przywróciłoby Kasom równowagę budżetową.

Na znaczne wydatki narażają Kasę liczne symulacye, spowodowane zastraszającym brakiem pracy. Stwierdzenie symulacyi nie zawsze da się przeprowadzić, a samo ono wywołuje nawał pracy dla funkcyonaryuszów Kasy.

Statystyka chorych wykazuje w roku sprawozdawczym niezwykły stan chorobowy w mieście. Zgłosiło się rzeczywiście chorych 17,197, z których w ambulatoryach Kasy leczyło się 16,468 osób, odesłano zaś do szpitala 729. Leczonym udzielano nietylko porad lekarskich i lekarstw lub takich środków leczniczych jak wody mineralne, wino, koniak, mleko kąpiele i t. p., ale sztucznych szczęk, oczu, nóg, prostotrzymaczy i innych środków terapeutycznych jako też opatrunkowych, czego dawniej nie było. Za niezdolnych do pracy uznano 4081 członków w ciągu 80,515 dni (w r. 1903—67,484 dni). Tym członkom wypłacono zasiłek pieniężny, umożliwiający im leczenie się bez pracy. Na zasiłek w gotówce, pomoc lekarską, leki, szpitale i pogrzeby wydano razem 158,019 k. (w r. 1903—131,612 k.).

Przeciętna opłata jednego członka Kasy wynosiła 10 k. 25 h., przeciętna dopłata pracodawcy 5 k. 42 h. rocznie przy średnim zarobku dziennym 1 k. 43 h. Cyfry te w roku poprzednim przedstawiają się w ten sposób: opłata członka 8 k. 09 h., dopłata pracodawcy — 4 k. 65 h., przeciętny zarobek dzienny 1 k. 31 h. Jeden wypadek chorowania kosztował Kasę przeciętnie 9 k. 071 (w r. 1903—7 k. 20 h.). Jeden chory i do pracy niezdolny kosztował przeciętnie 38 k. 23 h. (w r. 1903 — 28 k. 29 h.) czyli 248% opłat. Jeden członek Kasy kosztował przeciętnie 13 k. 25 h. (w r. 1903—11 k. 63 h.) czyli 86% opłat. Jeden wypadek choroby i niezdolności do pracy trwał w roku sprawozdawczym przeciętnie 19½ dnia (w r. 1903—14½ dnia.

W zgłoszeniach do leczenia członków Kasy uderzają swą wysokością przedewszystkiem następujące rodzaje chorób: choroby gardła, jamy ustnej, krtani i nosa — 2440; choroby oskrzeli, płuc, i opłucnej—1523; choroby żołądka, jelit i otrzewnej—1339; gruźlica i zołzy—1005, blednica i niedokrewność — 817. Wypadków stłuczenia i okaleczenia było 1141. Stały wzrost daje się zauważyć w pozycyach gruźlicy i gośćca, co—według sprawozdania Kasy—spowodowane jest przedewszystkiem lichem wynagrodzeniem robotników, podrożeniem środków żywności i zupełnym brakiem odpowiednich mieszkań. Robotnicy skarżą się powszechnie, że mieszkania są bardzo drogie i bardzo niezdrowe. Najgorsza izba za miastem kosztuje miesięcznie 10—16 koron, a ciemny i wilgotny kąt do spania—6 k. Nic dziwnego, że w takich warunkach gruźlica, gościec i inne podobne choroby czynią prawdziwe spustoszenie wśród klasy robotniczej.

Cyfry, zawarte w sumiennem sprawozdaniu rocznem Kasy chorych, pomimo ich pozornej „suchości", są wymownym dokumentem życia społecznego Galicyi. Dla każdego, kto się wczyta w te cyfry, stanie się jasnem, że tylko duże, zcentralizowane kasy chorych, obracające setkami tysięcy gotówki i obliczone na potrzebę całego miasta i całej jego ludności robotniczej, mogą mieć pewne znaczenie społeczne. Tylko takie bowiem kasy mogą zadosyć uczynić wszystkim potrzebom swych członków i należycie pełnić swe obowiązki. Wskutek tego w ostatnich czasach, odkąd kasy chorych, po zdobyciu ich przez organizacye robotnicze, przestały być słynnemi „gniazdami złodziejskiemi" i przekształciły się na instytucye pierwszorzędnego znaczenia społecznego, coraz wyraźniej występuje tendencya do znoszenia drobnych kas korporacyjnych i do łączenia ich z miejskiemi. Tendencya ta uznaną została za pożądaną i przez władze, a namiestnictwo lwowskie wydało nawet specyalny okólnik do kas chorych, istniejących we Lwowie, wzywający je do połączenia się.

Tymczasem to samo namiestnictwo zatwierdziło statut założonej przez krakowskich kupców chrześciańskich kasy dla pracowników handlowych, sankcyonując w ten sposób powstanie nowej instytucyi ze szkodą tak dla kasy miejskiej, jak i członków nowo powstającej, która nigdy nie będzie mogła zadosyć uczynić ich potrzebom w tej mierze, co zasobna kasa miejska. Ma się rozumieć, że ta ostatnia odwołała się do władz wyższych, protestując przeciwko postępowaniu magistratu krakowskiego.

Gospodarka miejskiej kasy chorych, bardzo skrupulatnie baczącej na to, aby pracodawcy nie uchylali się od włożonych na nich przez ustawę obowiązków i zapisywali do kasy pracujących u nich robotników, jest naturalnie solą w oku pp. majstrów i kupców. Tem się więc tłomaczy ich niechęć do wzorowo prowadzonej instytucyi robotniczej i sympatya dla drobnych kas korporacyjnych. Tam, gdzie kasy chorych nie zostały jeszcze zdobyte przez robotników, ich obecni gospodarze pragną utrzymać swój „stan posiadania" nie przebierając w środkach. Przy wyborach do kas chorych już się nawet krew lała, jak w roku ubiegłym w Stanisławowie.

Daleki.



UWAGI
w sprawie wychodźstwa zamorskiego.

—❧—

Na wzmiankę zasługują też rozmaite przekonania z wielką pewnością wygłaszane, gdy idzie o sprawy wychodźstwa. Do rzędu takich należą rozmaite proroctwa. Przepowiada się świetną przyszłość wychodźstwu w Paranie pod względem rozkwitu narodowego, bo kultura krajowców jest niższą, — równocześnie zapowiada się wynarodowienie wychodźstwa w Stanach Zjednoczonych, bo kultura yankesów jest wyższą. Przedewszystkiem wszelkie przewidywania, co się tyczy krajów młodych albo dziewiczych i mało zaludnionych są ryzykowne, gdyż tam nietylko wzajemny stosunek liczebny grup etnicznych łatwo się narusza, lecz każdy przejaw życia społecznego, politycznego, administracyjnego lub ekonomicznego podlega częstym zmianom. W rozwoju historycznym krajów dziewiczych nietrudno o niespodzianki, albowiem ich dynamizm rozwojowy nie posiada wyraźnej, określonej fizyognomii, jak w krajach europejskich, z ich wielowiekową tradycyą. Wyżej przytoczone proroctwa opierają się na tym poglądzie, że wyższe cywilizacye posiadają własność wchłaniania napływowych inoplemiennych grup etnicznych t. z. wynaradawiania, podczas gdy niższe tej własności nie posiadają. Pominąwszy już to, że nie wiadomo które cywilizacye należy zaliczyć do wyższych, a które do niższych, trzeba uznać za nierozstrzygnięte zagadnienie, co wpływa na wynaradawianie i wstrzymać się od śmiałych sądów w tym względzie. W każdym razie fakta nie uzasadniają teoryi o wynarodowiającem działaniu wyższych cywilizacyi. Prawdopodobniejszem jest, że przewaga masy etnicznej i siła ekspresyi cywilizacyi obok innych bliżej niezbadanych czynników więcej tu znaczą, niż owa niezdefiniowana jeszcze wyższość skoro rzekomo wyżej ucywilizowani Anglicy w Indyach przesiąkają wyobrażeniami Wschodu, skoro rozmaici dzikusi wychowani w stolicach europejskich, z łatwością powracają do porzuconego, pierwotnego trybu życia. Co się zaś tyczy polskiego wychodźstwa, wątpliwem jest, czy wolno w stosunku do niego posługiwać się terminem „wynaradawianie" skoro się ono składa w olbrzymiej większości z ogółu, który nigdy unarodowionym nie był, a więc i wynarodowieniu w ścisłem znaczeniu tego wyrazu podlegać nie może. Łatwość wynaradawiania się wychodźstwa polskiego w znacznym stopniu stoi w związku z trudnością jego unarodowienia na obczyźnie, w takim razie, gdy nie zdążyło się dokonać tego w kraju rodzinnym. Starsze pokolenie niełatwo zsolidaryzować ze społeczeństwem w kraju nietylko z racyi jego kosmopolityzmu religijnego, lecz i dlatego, że trudno mu się przejąć sympatyą dla tych, pośród których doznawało głodu, wzgardy i poniżenia. W pamięci każdego przedstawiciela tego pokolenia, zachowało się wspomnienie pańszczyzny, której jeżeli sam nie widział, to jest rozgoryczony opowiadaniami o niej ojców i babek. Prawie u każdego pozostała na dnie duszy głęboka uraza, gniew bezsilny tem większy, że tłumiony a nie złagodzony odwetem za policzki i kary cielesne, często niesprawiedliwie otrzymywane. Młodzi zaś ze społeczeństwem ojczystem nie posiadają ani sprzecznych ani wspólnych interesów, nie znają go ani pośrednio ani bezpośrednio a w dodatku mają o tem społeczeństwie niepochlebne wyobrażenie wysnute samodzielnie z własnych spostrzeżeń i zapożyczone od obcych.

Węzeł życiowy wychodźczy ze społeczeństwem rodzimem jest zerwany. Przypuśćmy, że przy wielkim nakładzie pracy i pieniędzy szkoła polska na wychodźstwie dochodzi do zenitu i wychowańców swoich robi polonistami, którzy dla spraw polskich będą mieli odrobinę entuzyazmu i nic więcej. Egiptolog lub oryentalista nie staje się egipskim lub chińskim patryotą dlatego, że jest egiptologiem lub oryentalistą. Prawdopodobnie więc i zamorski wychodźca polski, zostawszy polonistą „ex cathedra"

i „ex libris“, nie będzie też patryotą polskim. Tam gdzie entuzyazm dla polskości nie jest podyktowany oślepiającym interesem życiowym, tam musi on się sprowadzić prawie całkowicie do zachwytu nad kulturą polską. Jakkolwiek w dziejach tej kultury są momenty i okresy mogące rozrzewnić lub zachwycić, to jednak w zestawieniu z kulturą innych narodów może ona nie wytrzymać porównania. W podobnym razie polonistyczny rezultat idealnej szkoły polskiej na wychodźstwie wydać może korzyści wątpliwe, jeżeli nie będzie się trzymać systemu ortodoxyjnego, to znaczy ośliniać wszystko co „niepolskie“ a polskość z zamkniętemi oczyma podnosić pod niebiosy. Lecz chyba każdy się z tem zgodzi, że szkoła taka byłaby ze stanowiska nowożytnych pojęć i wymagań „chorą szkołą“. Zapominać zaś nie trzeba, że rzeczywistość obecna i przyszła od naszkicowanego ideału jest i będzie daleka, a zatem i tych mizernych wyników zapomocą szkoły osiągnąć się nie da; przeto wszelki grosz ofiarowany na nią będzie miał wartość kulturalną, ale pod względem narodowościowym można go uważać za zupełnie stracony. Dzisiejsza szkoła polska na wychodźstwie niema ani czasu ani środków do uganiania się za celami narodowościowymi. O ile ona istnieje, jest terenem tresury religijnej ku wytworzeniu posłusznych i loyalnych parafian. Pod względem kurturalnym leczyć ona jedynie może z tego kalectwa i niedołęstwa, jakie wynika z analfabetyzmu, a wyleczywszy szczęśliwie, co się jej niezawsze udaje, dostarcza możności dalszego kształcenia się przez czytelnictwo, ale nic poza tem.

Uwagami powyższemi o szkole polskiej na wychodźstwie nie wyczerpaliśmy bynajmniej tych wszystkich okoliczności, które kwestyonują spełnienie przez nią upragnionego celu. Pytanie, jak osiągnąć np. przymus uczęszczania do szkoły polskiej na wychodźstwie? Przymus moralny nie stanowi dostatecznej rękojmi pod tym względem. Jak wywalczyć dalej tolerancyę dla takiej szkoły ze strony władz tych krajów, gdzie wychodźstwo się znajduje? Jak wytrzymać konkurencyę ze szkołą rządową tanią i przymusową? Rząd każdego kraju, zakłada takie szkoły publiczne, jakie odpowiadają jego widokom i zapewniają mu moc i przewagę. Rzecz wątpliwa, czy polska szkoła na wychodźstwie niepodporządkowana celom państwowym samego kraju znalazłaby tolerancyę. Uwzględniając to wszystko, każdy z łatwością pojmie, że nawet kosztowna i idealna nie zdołałaby ona powstrzymać wynarodowienia się. Więc powtarzam, fundusze użyte na cele szkolnictwa na wychodźstwie byłyby marnotrawstwem, z uszczerbkiem dla niezaspokojonego szkolnictwa krajowego.

Wiele głów u nas roi o możliwości zdobyczy kolonialnych za pomocą wychodźstwa. Nie trzeba się zbyt długo zastanawiac, ażeby dojść do wniosku, że w danych warunkach wszystkie postacie zdobyczy kolonialnych są dla nas niedostępne. Takie, jakie w drodze korsarstwa jeszcze na początku XIX stulecia Anglia ze skutkiem stosowała, należą już do historyi. Wszędzie powiewa flaga jakiegoś państwa zwierzchniczego lub „protektorskiego“, co prawie na jedno wychodzi. Przy zupełnym braku narzędzi korsarskich i wojennych nie może być mowy o takich zdobyczach awanturniczych. Opanowywanie zorganizowanych i upaństwowionych krajów drogą omotania ich pajęczą siecią machinacyi giełdziarskich musimy pozostawić giełdom Nowego Yorku, Londynu, Paryża i Berlina. Kraje militarnie słabe ze sprzedajnymi rządami, trwoniącymi na użytek osobisty zaciągnięte długi państwowe, kończą na tem, że są wystawione na likwidacyę polityczną otwartą lub utajoną. Ale kto ze zdrowym rozsądkiem ośmieli się szczerze utrzymać, że my w tej grze politycznego lichwiarstwa możemy brać jakikolwiek udział, choćby nawet tylko niedecydujący? Wszelka akcye tego rodzaju, ażeby była skuteczną wymaga nietylko olbrzymich środków finansowych i wpływów politycznych, lecz milcząco przypuszcza interwencyę militarno-polityczną tych państw do których finansiści należą. Podboje pokojowe przez opanowania rynku i wytwórczości danego kraju też są dla nas nieziszczalne. Do tego potrzeba, ażeby przemysł nasz i handel był zorganizowanym i unacyonalizowanym, co niema miejsca. Niezbędne są też wielkie zasoby techniczne w ludziach, umiejętnościach i kapitałach; potrzebny decydujący wpływ na taryfy tranzytowe, przewozowe okrętami i kolejami, na politykę celną i traktaty handlowe. Bez tego uniezależnienia się od korporacyi współzawodniczących nie osiągnie się nigdy zdolności konkurencyjnej na odległych rynkach. Wychodźstwo polskie prócz tego winno przedstawiać pogotowie bojowe, mogące współdziałać we wszystkich tych usiłowaniach. Rzeczywistość tymczasem bardzo jest od tego wszystkiego daleka.

Gdy sobie uprzytomnić, że zamorskie wychodźstwo polskie wszędzie pod żadnym względem nie przedstawia nawet drugorzędnej siły i pod każdym pozostaje na szarym końcu, to niepoczytalność tych zamiarów wystąpi w całej okazałości. Bo nic nie zapowiada, żeby wychodźstwo polskie w niedalekiej przyszłości mogło wyjść z tego upośledzenia, w jakiem się znajduje.

(c. d. n.)

Obserwator.

Ruchy chłopskie na Węgrzech.

Hrabia Józef Majlath, wielki właściciel ziemski na Węgrzech, [1]) wydał świeżo tom studyów o kwestyi robotników rolnych, poświęcony wyłącznie historyi i ocenie ruchu agrarnego i wielkich strajków rolnych, które wstrząsnęły Węgrami w ostatnim dziesiątku lat zeszłego stulecia. Autor jest jednym z niewielu Węgrów, którzy zapoznali się z europejską nauką socyalno-polityczną i do pewnego chociaż stopnia przejęli się jej duchem; świadczą o tem wyrzuty pod adresem szlachty węgierskiej, że nie troszczy się ona, a przynajmniej nie troszczyła dotychczas o los wieśniaków. Z drugiej jednak strony potępia on jak najbardziej stanowczo i same strejki i agitacyę, która im towarzyszyła a nawet, jak to sam opowiada, brał czynny udział w ich tłumieniu. Tem wymowniejsze i ciekawsze jest jego świadectwo o przyczynach, przebiegu i następstwach ruchu.

Zniesienie pańszczyzny i uwłaszczenie włościan, które dokonało się na Węgrzech między rokiem 1832 a 1848, odbyło się w taki sposób, że stosunkowo nieliczna tylko część chłopów otrzymała ziemię, a procent bezrolnych, odrazu znaczny, szybko się potem powiększał wskutek podziałów rodzinnych, rozwoju gospodarki pieniężnej, ciemnoty chłopa i braku dla niego jakiejkolwiek obrony prawnej przed lichwiarzami i spekulantami. Wielka, wschodnia równina Węgier, zwana „Alföldem“, nadaje się, jak wiadomo, znakomicie do uprawy pszenicy i wogóle zboża, a to sprzyja ogromnie rozwojowi wielkiej własności, która wymaga, oprócz pewnej ilości stałej służby folwarcznej, jeszcze wielkich armij robotników, zatrudnionych dorywczo przez krótki czas przy sezonowych robotach, przedewszystkiem naturalnie żniwach. Podług ostatniego spisu ludności w roku 1900-ym, ogólna liczba robotników rolnych wynosiła w całych Węgrzech, bez Chorwacyi, aż 1,795,000—cyfra bardzo duża, stanowiąca więcej, niż 10 prc. całej ludności Węgier. Z tych tylko 409,000 należało do warstwy drobnych posiadaczy małorolnych, wynajmujących się dodatkowo do roboty na pańskiem, reszta, aż 75 prc. ogólnej liczby, to zupełnie bezrolni, a liczba ich w najbardziej pszenicznych okolicach, które były właśnie widownią najgwałtowniejszego ruchu, mianowicie pomiędzy Dunajem a Cisą, dochodzi nawet do 86 prc. ogółu robotników rolnych. Z tego już widać, że większa i średnia własność chłopska jest wyjątkowo nieliczna i nędzna; ludność wiejska, oprócz panów, składa się z niewielu zamożnych włościan, którzy usiłują wytworzyć z siebie dumną i zamkniętą kastę, i z tłumów bardzo małorolnego albo zupełnie bezrolnego proletaryatu. Na ogólną liczbę 2,384,000 posiadłości rolnych 1,290,000 jest mniejszych od 5 morgów, i razem zajmują one tylko 6,15 prc. całej uprawnej powierzchni; dalej, jest 1,055,000 średnich posiadłości, od 5 do 100 morgów, i te zajmują już 48 prc. powierzchni; dodajmy, że i tej liczby prawie połowa należy jeszcze do bardzo małych, poniżej 10 morgów; wreszcie, prawie połowa gruntów należy do 23,635 właścicieli, a w tej liczbie ³/₄ jeszcze do 3,768 magnatów, których pojedyncze majątki liczą nie mniej, niż po tysiąc morgów katastralnych. Takie straszne sprzeczności stoją naprzeciwko siebie na wsi.

Węgrami faktycznie rządzi te dwadzieścia tysięcy rodzin szlachecko-ziemiańskich, a nawet, ściślej mówiąc, te trzy tysiące magnatów: to też prawodawstwo, dotyczące robotników rolnych, jest całkowicie przystosowane do ich potrzeb. Prawo z roku 1876 staje na straży dotrzymania kontraktów przez robotników. Kontrakty te dla stałej służby folwarcznej są zwykle roczne, z wypowiadaniem trzy miesięcznem; w razie odmowy posłuszeństwa przez parobka właścicielowi przychodzi na pomoc policya, która siłą zmusza robotnika do pracy. Stosunek obywatela do parobka jest określony, jako „patryarchalny“, z czego wynika, że obywatelowi lub jego zastępcy wolno jest cieleśnie karać parobka, i że „wyrazy, skądinąd uchodzące za obelgi słowne, w stosunku obywatela do parobka nie podlegają karze“. Oprócz tego właściciel ma prawo wytrącania z zarobku parobka za różne przewinienia; ba! wyraźnie jest powiedziane, że może mu także wytrącić za szkodę, poniesioną wskutek winy lub niedbałości innego parobka, towarzysza pracy, o której dany podwładny nie doniósł—i hr. Majlath ten przepis tłomaczy także „patryarchalnym“ charakterem całego stosunku...

Kontrakty z innymi robotnikami, sezonowymi, do żniwa itp. robót, zawierają się także zawczasu, na kilka miesięcy przedtem, i robotnik po zawarciu kontraktu może również przez policyę być zmuszony do pracy, schwytany w razie ucieczki i t. d. Praca, podług prawa z roku 1876, trwa od wschodu do zachodu słońca, faktycznie, jeśli księżyc świeci i jest pogoda, to podczas żniw przynajmniej pracuje się i przy księżycu. Wynagrodzenie bardzo często określone bywa i wypłacane w naturze, jako pewna część zbioru; w razie zbioru niepomyślnego powstawały stąd zawsze liczne spory i nieporozumienia. Szczególniej zaś cięży ludowi następujący, bardzo rozpowszechniony, przynajmniej do niedawna, sposób wynagrodzenia: bezrolny otrzymuje od dworu kawałeczek gruntu, szczególniej pod kukurudzę, tytułem jednorocznej renty, a w zamian za to zobowiązuje się do pewnych robót. Dwór w ten sposób ustala

[1]) Studien über die Landarbeiterfrage in Ungarn. (Wiener Staatsw. Studien, XI, 2). Wien und Leipzig, 1905.

sobie w pobliżu pewną ilość potrzebnych rąk roboczych. Chłopi, jak zwykle, chciwi kawałeczka gruntu, któryby mogli sami dla siebie uprawiać, dobijają się formalnie o te działki i wytwarzają przez to istną konkurencyę na swą niekorzyść. Dwory narzucają im wzamian za nie coraz więcej różnych zobowiązań, a szczególniej mają w tem celować rządcy, otrzymują oni bowiem tantyemę z czystego dochodu majątku, a przy ekstensywnym systemie uprawy nie mogą tego dochodu podwyższyć inaczej, jak przez zmniejszanie wydatków gotówką na najemnika. Z tego powodu, oddając działki kukurydzowe bezrolnym, starają się zobowiązać ich do jak największej ilości dni pracy na polach pańskich, oprócz tego wymawiają sobie jeszcze najrozmaitsze inne korzyści i usługi. Jest to dla ludu tak uciążliwe i krzywdzące, że i wieśniacy sami, i niektórzy pisarze porównywają te stosunki z dawną poprostu pańszczyzną.

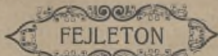
Przemysł na Węgrzech, młody i słaby, nie może zatrudnić bezrolnego proletaryatu. W dziewiątym lat dziesiątku skończyły się w dodatku różne roboty publiczne koło regulacyi rzek i budowania kolei żelaznych. Spore masy proletaryuszów wiejskich, którzy tam mieli zajęcie, wróciły na wieś, co pociągnęło za sobą niezwłocznie duży spadek zarobków robotników rolnych i wogóle pogorszenie warunków ich pracy; przeciętny zarobek dzienny, o ile był wypłacany w pieniądzach, wynosił po r. 1890 dla dorosłego mężczyzny 1 koronę 78 hal., dla kobiety—1,16, dla dziecka 75 hal.; przytem jednak pamiętajmy, że robotnicy ci mają zajęcie tylko przez 88 dni najwyżej w ciągu roku! Z drugiej strony, przy owych robotach rzecznych i kolejowych robotnicy wiejscy zetknęli się z różnymi innymi ludźmi z miast, ze świata, rozszerzył się ich krytycyzm, podniósł poziom żądań. I otóż na ten grunt padła propaganda partyi socyalno-demokratycznej.

Partya ta już w roku 1891 zwróciła uwagę na agitacyę wiejską, zaczęła wydawać odpowiednie broszury i wysyłać agitatorów na wieś, którzy próbowali urządzać zebrania i zakładać stowarzyszenia. Spotkali się natychmiast z przeszkodami administracyjnemi. Trzeba wiedzieć, że administracya i policya lokalna znajduje się na Węgrzech najzupełniej w rękach szlachty. Tak zwane komitaty, czyli jednostki terytoryalne, zachowały odwieczną organizacyę wybieralną. Nanżupan, czyli gubernator albo starosta, jest wprawdzie organem rządu, przez ministeryum mianowanym, ale już wicežupan, a szczególniej sędziowie czyli wójtowie, posiadający władzę sądową i administracyjną pierwszej instacyi w najmniejszych okręgach, są wybierani przez tak zwaną kongregacyę, czyli municypium, które samo składa się z pewnej ilości „wirylistów“, czyli większych posiadaczy ziemskich, mających w niej głos z samego tego tytułu, oraz z delegatów rad gminnych. Szlachta wodzi więc rej absolutny w tych ciałach i wybiera wyłącznie swoich ludzi; od rządu nawet są oni już choćby dlatego niezależni, że wybierani są dożywotnio. Organizacya ta może niewątpliwie oddawać duże usługi w walce z jamiś rządem obcym lub narzuconym zzewnątrz, i takie też było jej historyczne znaczenie; ale, jako nawskroś klasowa, oddaje ona też niepospolite usługi szlachcie w jej walce klasowej z robotnikami.

(d. n.)

K. Krauz.





PAMIĘTNIK.

Z rodzimej socyologii.

Na każdej głosce lśni kropla potu. Nie potrzeba pytać, dość spojrzeć na „doświadczenia strajkowe,” zamieszczone w *Gońcu*, ażeby zrozumieć, jak ich autor, p. B. W., mozolił się straszliwie, ażeby zedrzeć pajęczynę wątpliwości, której siecią oprządł jego duszę pająk, dostarczający głównie nici do tkanin dziennikarskich. Trudność tkwiła w następującej sprzeczności. Według p. W. „wobec różnych postulatów klas pracujących stanął *ogół* zupełnie *nieprzygotowany do ich oceny*. Nieliczne *jednostki*, posiadające *wykształcenie ekonomiczne*, w sprawie tej zdobyć by się mogły po większej części na kilka *ogólnikowych* frazesów“. Słowem, *camera obscura*. Naturalnie tam, gdzie „warstwy inteligentne“ nie posiadały żadnego przygotowania“, a nawet jednostki z wykształceniem ekonomicznem zdobyć się mogły zaledwie na kilka frazesów, p. W. „przygotowany do oceny” zjawisk stał się poprostu zbawcą rozumu społecznego, jedynem światłem śród powszechnej ciemności. I cóż on odkrył? Że „radykalizm nasz nie posiada zupełnie cech rodzimych”—to nie nowina, bo o tem wiemy od czasu, kiedy w naszym ogrodzie socyologicznym wyrosły obficie „główkimakówki,“ z których zaczęto wyrabiać mdły olej, odurzające opium i makuchy. Ciekawszem jest inne, niestety, rozwidlone spostrzeżenie. *Robotnik polski* — mówi p. W. — w porównaniu z niemieckim przedstawia typ, który, postawiony w jednakowych warunkach, jeśli nie przewyższa, to wcale *nie ustępuje niemieckiemu*”. To jedna prawda. A teraz druga: „Nasza ludność włościańska pod względem oryentowania się w swojem położeniu w wielu okolicach kraju *stoi wyżej od ludności robotniczej*“. Trzecia: „Zagranicą robotnik w stowarzyszeniach zawodowych kształci się nietylko fachowo, poznaje również swoją rolę w procesie wytwarzania, uczy się wierzyć w swoje siły, uczy się wywalczać lepsze warunki pracy w odpowiedniej chwili i w odpowiedni sposób.”

Możemy więc ułożyć drabinę: zagraniczny robotnik fabryczny stoi bardzo wysoko, wyższy stopień nad nim, przynajmniej nad niemieckim, zajmuje robotnik fabryczny polski, a nad tym wznosi się ludność włościańska, która imponuje całemu światu. Drabina ta byłaby bardzo piękną i prawidłową, gdyby nie jeden szczebel, który się w niej umieścić nie da. Mianowicie, jakkolwiek robotnik polski „jeśli nie przewyższa, to wcale nie ustępuje niemieckiemu,“ to jednakże według tegoż p. W. „robotnik w Łodzi czy w Zagłębiu, wyrwany ze zwykłego otoczenia wiejskiego (a zatem z wyższej sfery), częstokroć analfabeta, nie może pojąć skomplikowanego mechanizmu życia ekonomiczno-społecznego.” Wyznaj czytelniku szczerze: czy ty wiesz, kim jest (zdaniem p. W.) robotnik polski i w jakim stosunku do zagranicznego? W tej plątaninie sznurków kręconych z piasku frazeologii, to tylko jest dla nas niezawodnem, że podczas gdy na całym obszarze kultury kwestya robotnicza jest przedmiotem głębokich badań i poważnych zabiegów, u nas jeszcze stanowi ona rodzaj trąby z przyrządów starego kuglarstwa, napełnionej sadzami, w którą ciekawi chłopcy dmuchają, ażeby sobie niemi twarz osypać. Ach, prawda, jedynie „przygotowany do oceny postulatów klas pracujących”, p. W. dał pozytywną radę: trzeba podnieść kulturalny poziom robotnika, a wtedy on nietylko osiągnie szczęście, ale pozbędzie się ze swego łona „nożowców, alfonsów itd.“ Kiedy tacy filozofowie czegoś się nauczą?

Pierwiosnki.

W mieszczańskiej prasie naszej pojawiły się pierwiosnki publicystyki politycznej. Nie są to już przeróbki artykułów gazet obcych, nie są to sztuczne kwiaty „miłości kraju“ wystrzygane z bibułki lojalności; nie są to kryształy lodu mętnej i mdłej wody, przedstawiane jako brylanty, ale jest to coś, co przynajmniej nie urąga zasadom — że tak powiem — ortografii języka politycznego. Pewne rzeczy u nas dzieją się z p. Ludwikiem Górskim, a pewne z H. Sienkiewiczem "na czele“. Tym razem batutę w chórze i marszu na nutę; „odważnie w tył a lękliwie naprzód!“—ujął szanowny autor *Quo vadis*. Powtórzył on w *Rusi* znane zarzuty przeciwko szkole rządowej u nas, wyciągnąwszy z doświadczeń i przypuszczeń wniosek, że ona wbrew swemu założeniu nie wytwarza dla państwa pożądanych subjektów, podczas gdy spolszczona dałaby zarówno swemu społeczeństwu, jak państwu dobrych obywateli. Z małym wyjątkiem cały ten wywód jest słuszny i dla sprawy, której broni, pomocny, ale od pisarza, który zajmuje w swej ojczyźnie tak wybitne stanowisko i którego głos po za jej granicami ma tak wielką doniosłość, wymagałoby się czegoś więcej, niż jego dwie bardzo miękie elegie. Są to roboty za słabe w stosunku do jego znaczenia. Nie ulega wątpliwości, że w obecnej porze i obecnych warunkach waga imienia Sienkiewicza mogłaby oddziałać na publiczną opinię rosyjską, gdyby on to imię związał z jakiemś mądrem słowem. Niestety, takiego słowa unika lub na nie zdobyć się nie może. Bard z orlą źrenicą, krótkowzroczny krytyk teraźniejszości, ślepy prorok. Zawsze płynie daleko po za przednią falą i zakłada sobie pas korkowy przeciw utonięciu na płytkich brodach, które już dawno przestały być niebezpiecznemi głębiami i po których niedługo kozy będą przechodziły nie zamoczywszy sobie brzuchów.

W szerszym zakresie, ale na takim samym podkładzie rozwija swój wywód (w *Gazecie Polskiej*) coraz częściej występujący deklamator p. B. Lutomski. Bo on również, jak Sienkiewicz, głosi „politykę“. Rozkrzyżowawszy ręce od wschodu ku zachodowi, „na gościńcu rozsądku politycznego”, jedną dłonią wskazuje drogę do grodu szczęścia narodowi polskiemu a drugą—rosyjskiemu. „My Polacy— powiada — pragniemy szczerze społecznego i moralnego rozwoju narodu rosyjskiego; sądzimy, że naród ten, liczny i młody, z olbrzymią przestrzenią do pracy, znaleźć może zadośćuczynienie dla swej ambicyi i prawowitych dążeń, znajdzie je tem więcej, jak się wyzwoli z niechęci, w niektórych odłamach z nienawiści do nas”. Ściśle biorąc, w powyższem zapewnieniu przyczyna jest związana ze skutkiem niteczką frazeologiczną, ale mniejsza o to, gdyż chodzi nam tylko o uwydatnienie barw pierwiosnka. Są one przeważnie blade, nikłe, zamazane, ale nie brak pomiędzy niemi prążków żywszych, wyraźniejszych. „Nasz kraj — mówi słusznie p. L. potrzebuje regularnego i jawnego działania prawa, wszystkich zarówno obowiązującego, potrzebuje swobody pracy kulturalnej na wsi i w mieście, w parafii i w gminie, w powiecie i gubernii, w szkole i w uniwersytecie, potrzebuje rękojmi dla najdroższego swego skarbu, jakim jest język we wszelkich instytucyach publicznych, potrzebuje takiej swobody słowa, któraby pozwalała

na rozstrząsanie jego spraw, bez której wszyscy stąpamy po omacku, umysły pozostają w niebezpiecznej ciemnocie, co więcej znaleźć się mogą nad skrajem przepaści. Innemi jeszcze słowy, kraj, oprócz ogólnych reform zasadniczych, potrzebuje prawdziwego samorządu społecznego".

Rozumnie i rzetelnie, prawie zdumiewająco ze strony publicysty, który jeszcze nie umie odróżnić fizyologii od patologii społeczeństwa, zaliczając do ostatniej to, co należy do pierwszej — mianowicie ruch robotniczy. *G.*

Wrzątek w zaścianku.

Gryźć się, zajadle się gryźć a przedewszystkiem o to, bez czego najzupełniej obejść się można — to najpopularniejsza formuła życia na naszej ziemi. Biskupstwo sejneńskie liczy 366,000 Polaków, a 325,000 Litwinów, księży zaś polskich 78, a litewskich 271. Teraz ma być mianowany nowy biskup: naturalnie Polacy chcą w Watykanie przeprowadzić swego kandydata, a Litwini swego. Tymczasem odbywa się igrzysko ostrych zębów i pazurów w prasie obu narodowości. Wogóle od pewnego czasu prowadzą one z sobą zaciekłą walkę na gruncie religijnym a raczej kościelnym: ci żądają kazań i pieśni polskich, tamci litewskich—ot i gotowy—a co najdziwniejsze—jedyny powód do wodzenia się za czuby. Właściwie mówiąc, to nie poważna walka, ale gorsząca awantura, którą rozumni obywatele kraju uśmierzającemi staraniami powinniby stłumić.

Syki.

Panuje ogólna zgoda nowych publicystów co do braku u nas odwagi cywilnej. Łatwo to można spotrzedz i w stosunku do niektórych zjawisk dzisiejszych naszego ogółu. Życie poszło swemi tory niezależnie od pragnień przeróżnych ojców narodu. Ci, którzy nie mogą go powstrzymywać, nie mają tyle odwagi cywilnej, aby swe gadzinowe poglądy jasno i wyraźnie wypowiadać. Zamiast tego czepiają się przeróżnych sztuczek i tylko ukradkiem splują lub zasyczą. Uprzytomijmy sobie odezwanie się prasy naszej, — tej spokojnej, miłującej ciszę i prenumeratorów, w kwestyi włościańskiej. Kompetentna, choć tylko z własnego stanowiska spoglądająca komisya ziemiańska, daleko przyzwoiciej i rozumniej pojęła położenie, niż zajadli słudzy agraryuszów naszych z Kur. Warsz. i Tygodn. Ilustr. Ci ostatni panowie nie zdołali wznieść się ponad nizinę kłamstw i ordynarnie tendencyjnych oświetleń położenia. Każde świeższe drgnięcie nowego życia musi widocznie wywołać syki płazów niepokojących się o całość trzęsawiska. Słońce ich pali w oczy i pozbawia zdolności myślenia i rozumienia. *zb.*

Oczekiwana niespodzianka.

Przed paru tygodniami ośmieliłem się, wśród entuzyazmu z racyi zawieranych umów między pracobiorcami a pracującymi, co do niedzielnego odpoczynku i innych ustępstw, powątpiewać o trwałości tych reform. I oto dziś z wielką skwapliwością przeróżne firmy wracają do dawnego porządku, a pisma codzienne skąpo o tem mówią. Gdzie się podziały niedawne zachwyty, hymny na cześć pracy i zgody? Czyż ci, którzy tak wielbili dobroć i szlachetność przeróżnych przemysłowców, dziś naraz ogłuchli, oślepli i nie uważają za stosowne odezwać się i nieco zadziwić wobec takiej niestałości. Tego nikt po nich nie oczekuje. Chwilowo moda nastroiła ich na nutę nierozważną, dziś powrócili do równowagi, czczenia pałki i sakiewki. A owi pryncypałowie zarobili podwójnie: zareklamowali się, w niebie zyskali dobrą notę na skutek nabożeństw dziękczynnych i urządzili swe interesy jak najwygodniej. Solidarne zamykanie sklepów wcześniej, prysło, jak bańka mydlana. I nadal będzie wyzysk i naigrawanie się z potrzeb duchowych i fizycznych podwładnych. Niektórych ludzi ta raptowna zmiana dziwi, tembardziej, że opinia publiczna nie reaguje na nią, uważając tego rodzaju postępowanie za normalne i godziwe. Naiwni—czyż dopiero dzisiaj przekonali się, że u nas przedewszystkiem panuje uganianie się za modą, nastrojem, za pianą, że ciągłe przemiany barometra społecznego należą do spraw niezmiennych naszych stosunków. Wszędzie zabawa wszędzie sensacya. Wesołe społeczeństwo! *r.*

Przewartościowanie pracy.

Obecne położenie ekonomiczne doczekało się ujęcia w teoryę, czego wypływem jest powyższe określenie. Tłomaczy ono fakty dokonane, któremi są zmiany w stosunku pracy do kapitału. Do wyłącznie ekonomicznych stron zaszłych wypadków należy dołożyć i inne czynniki, jeszcze nieskrystalizowane i nieocenione dostatecznie. Jest to strona życia bardziej psychiczna, bardziej ukryta. W ich szeregu cenną zdobyczą jest uzewnętrznienie się znaczenia solidarności i poczucia własnych interesów. W naszych warunkach nowością nawet jest sam fakt prowadzenia układów między dwiema stronami, i nieoburzanie się opinii dziennikarskiej na występowanie pracujących z żądaniami. Dalej należy zwrócić uwagę na zarysowanie się przyszłego ukształtowania się społeczeństwa, wyjaśnienie, komu należną jest przodująca rola, czem są i czego są warte pojedyncze jednostki i całe grupy. Wszystko to uzupełnia ściśle ekonomiczne oświetlenie położenia i rozciąga przemianę wartości i na inne sfery życia naszego. Zarówno pierwsze jak i drugie czynniki rozpoczęły swe przewartościowanie się", rezultat tego procesu zależny jest od wytrwania i istotnej siły. Kto młodszy, kto żywotniejszy, kto silniejszy ukochaniem i wiarą, ten przetrwa, nada pracy należne stanowisko i stworzy nową jej wartość. *r.*

Pod adresem redakcyi „Kroniki Lekarskiej."

Leży przed nami broszura — odbitka z „Kroniki Lekarskiej" p. t. „Nowoczesne urządzenia do produkcyi limfy ospowej stosowane oraz w szczególności o urządzeniu Instytutu publicznego szczepienia ospy w Warszawie", podał dr. med. J. Polak (dyrektor instytutu). Na wstępie tej broszurki czytamy:

> Limfa ospowa stanowi jeden z najstarszych tematów medycyny i hygieny obecnej, od kilku już lat bowiem minęło stulecie od czasu odkrycia Jennera, a jednak nie przestaje ono zaprzątać umysłów uczonych i praktyków, i w istocie stanowi przedmiot pod względem teoretycznym jeden z najciekawszych, pod względem praktycznym, jeden z najpotężniejszych środków jakimi hygiena się posiłkuje, środek, który prawdopodobnie wytępi wkrótce jedną z najstraszniejszych plag ludzkości, plagę, która zabiera do dziś dnia, tam, gdzie szczepienie nie odbywa się w dostatecznych rozmiarach, tysiące, dziesiątki i setki tysięcy ofiar, inne kalectwem dotyka lub szpeci na całe życie.

Że tak pisze dr. med. J. Polak, temu wcale się nie dziwimy. Jest on zajęty bardzo różnemi sprawami uzdrowotnienia naszego miasta. Lecz dziwimy się mocno temu lekceważeniu języka naszego przez redakcyę „Kroniki Lekarskiej", której obowiązkiem było chaotyczną pisaninę autora wystylizować. Wszak dbałość o język to przyrodzony obowiązek każdego z nas, a tembardziej każdej redakcyi. *x.*

BADANIA NAUKOWE

„IGNORABIMUS".

Słyszałem niedawno wypowiedziane w gronie przyrodników zdanie, że E. Dubois-Reymond wyrządził wielką nauce krzywdę, głosząc swoje „ignorabimus". Nieostrożne przyznanie się wobec szerokiego ogółu do pewnej bezsilności musiało zdyskredytować wobec tego ogółu naukę, dało możność różnym niepowołanym literatom ostrzyć języki na temat jej bankructwa, i trzeba było nowych wysiłków, nowych zdobyczy na polu naukowem, żeby jej przywrócić dawniejsze stanowisko. Winę Dubois-Reymonda stanowiła właśnie ta nieostrożność wypowiedzenia się przed szerszym ogółem: wolno mu było przyznać się, że widzi pewne granice poznania, lecz należało to uczynić wyłącznie przed ludźmi nauki, którzyby potrafili we właściwy sposób twierdzenie to zrozumieć.

Ci, którzy tak surowo zganili Dubois-Reymonda, są dobrymi fachowcami i uznanymi krzewicielami przyrodoznawstwa, tem dziwniej brzmiało w ich ustach podobne zdanie. Rozmowa ta stanęła mi żywo w pamięci na odczycie p. J. Sosnowskiego („Fizyologia a psychologia"), gdzie nie było żadnego owijania w bawełnę, gdzie prelegent nie wahał się właśnie przed szeroką publicznością mówić z całą szczerością, że są rzeczy, które nauka może, a są i takie, których nie może.

Jeżeli w tej chwili zamiast przystąpić wprost do rzeczy wspominam o powyższej rozmowie, czynię to w celu usprawiedliwienia się, że dziś poruszam kwestyę, która, jak by się zdawało, w naszych czasach nie powinna już budzić żadnych wątpliwości. Sądzę, że przeciwnicy moi nie wezmą mi tego za złe, a nawet przypuszczam, że zechcą mi odpowiedzieć i pogląd swój uzasadnić lepiej, niż to było możliwe w krótkiej dyspucie ustnej.

Zdanie Dubois-Reymonda musiało wywrzeć ogromne wrażenie; wiele osób stojących zdala od ruchu naukowego mogło istotnie zwątpić o potędze nauki, a raczej o jej wszechpotędze, ale czy przez to stała się nauce krzywda? Stanowczo na to się zgodzić nie możemy. Jeżeli owo zdanie wywołało pewne rozczarowanie, wynikało to ze stosunku, jaki się uprzednio wytworzył pomiędzy światem uczonych a zwykłymi śmiertelnikami, wskazywało to, że stosunek taki trwać dalej nie może, że jakkolwiek historycznie był usprawiedliwiony (cóż bowiem nie da się historycznie usprawiedliwić!), to jednak w dalszym ciągu niepodobna uważać go za normalny. Krótko mówiąc, zdanie Dubois-Reymonda nietylko dla nauki samej, ale i dla jej popularyzacyi stanowi epokę, i tu i tam warunkuje postęp, o żadnej więc krzywdzie mowy być nie może.

Nauka jest tak samo zawodem, jak pierwsze lepsze rzemiosło. Od dawien dawna, a dziś tembardziej nie można żądać połączenia kilku zawodów w ręku jednej osoby, gdyż na wydoskonalenie się w jednym z nich życie człowieka jest przeważnie za krótkie. Niepodobna więc marzyć, aby szeroki ogół mógł śledzić za postępem nauki w taki sam sposób, jak to czynią uczeni. Ogół ten może wiedzieć o nauce i jej postępach tyle, ile mu o tem specyaliści powiedzą. Jeżeli ci specyaliści wyodrębnieni są w pewną kastę, jak to niegdyś bywało, jeżeli im na tem wyodrębnieniu zależy,

wówczas rzecz prosta inną jest nauka dla uczonego, a inną dla reszty świata. Jeżeli jednak kastowości niema, a tylko odpowiedni podział pracy, jeżeli uczony jest istotą uspołecznioną, w takim razie nie może być muru pomiędzy nauką a ogółem ludzi. Oczywiście i w tym ostatnim razie nauka dla uczonego nie będzie tem, czem jest dla dyletanta, lecz charakter tej różnicy powinien być inny, niż w wypadku kastowego wyodrębnienia uczonych—powinna być zgodność pomiędzy nauką a jej popularyzacyą.

Zgodności tej właśnie nie było, a i dziś niestety być nie może, o ile sami uczeni pragną mieć przed ogółem sekrety. Gdyby w swoim czasie uczeni nie kryli takich lub innych braków nauki, gdyby nie przemawiali do ogółu w tych jedynie wypadkach, kiedy mieli czem zaimponować, słowem, gdyby ich „kastowość“ nie przetrwała do ostatnich niemal czasów, zdanie Dubois-Reymonda nie mogłoby wywołać takiego wrażenia wśród nieuczonych, jakie całkiem naturalnie wywołało. Ogół niewierzący ślepo we wszechpotęgę nauki, nie doznałby rozczarowania wobec oświadczenia, że to lub owo zagadnienie rozstrzygnąć się nie daje albo nawet nigdy rozstrzygnąć się nie da.

Ten czas przyszły w twierdzeniu Dubois-Reymonda szczególniej ludzi raził, a i teraz niektórych razi. O przyszłości nie wolno nic twierdzić z pewnością, gdyż wielokrotnie mogliśmy się już przekonać, jak dalece nasze przewidywania były błędne. Ostrożność w sądach jest niewątpliwie rzeczą dobrą, lecz tutaj się zapomina, że w niektórych zagadnieniach (np. o świadomości) może być tylko mowa o oznaczeniu niewiadomej przez tę samą niewiadomą, że niepodobieństwem jest wynalezienie odpowiedniego sprawdzianu, o ile psychika nasza nie przestaje być taką, jaką jest, t. j. o ile nie przestajemy być ludźmi. W takich razach mamy prawo mówić o granicach poznania nawet w czasie przyszłym, wtenczas pedantyczne powstrzymywanie się od sądów o przyszłości, ograniczenie się jedynie do teraźniejszości staje się pustą, bezcelową formalistyką.

Nauka tyle razy wykazała już swą potęgę, tyle prawdziwych cudów uczyniła, że się wstydzić nie potrzebuje, jeżeli przed jakiem zagadnieniem stanie bezradna. I przyznać się do swej niemocy tembardziej może, że takie przyznanie się jeszcze bardziej jej potęgę uwydatni. Ten, kto nie wie, z jakiemi trudnościami ma ona do czynienienia, nie może powziąć należytego wyobrażenia o jej potędze; odsłanianie tych trudności, a nawet granic, po za które nauka wyjść nie może, to nie dyskredytowanie nauki, lecz przeciwnie jej podnoszenie. Jeżeli chcemy, aby w przyszłości ludzkość cała nie doznawała w nauce zawodów i rozczarowań, jeżeli chcemy, aby nauka pozostawała niezachwianą na swem stanowisku, powinniśmy pragnąć i wszelkich usiłowań dokładać, żeby uczeni zawsze w prawdziwem świetle przedstawiali ją ogółowi, bez przesady, bez przemilczania wątpliwości i błędów, żeby znikł wreszcie wszelki cień kastowości uczonych, nie było innej nauki dla uczonych, a innej dla ogółu, ale jedna jedyna nie w równej mierze wprawdzie dla wszystkich dostępna, lecz czysta od cienia fałszu, którego nawet dla t. zw. względów pedagogicznych wprowadzać nie należy.

Mówi się zazwyczaj, że niepodobieństwem jest popularne przedstawienie badań naukowych bez popełnienia pewnego nadużycia; pragnąc rzecz spopularyzować należy z konieczności ją uprościć, a to pociągnie za sobą przemilczenie tych lub innych wątpliwości, które w danym razie uczonemu się nasuwają, lecz przed wzrokiem ogółu muszą pozostać ukryte.

Niewątpliwie, i nie o to mi bynajmniej chodzi, by ten lub ów wykład, odczyt lub artykuł był przeładowany wątpliwościami i w ten sposób utracił jasność i przejrzystość. Chodzi mi o to, aby wszelka popularyzacya nauki uwzględniała i wprowadzała pierwiastek krytyczny tam, gdzie jest na miejscu (czego dotąd przeważnie się nie robi), aby uczeni, dzieląc się z ogółem ludzi swemi zdobyczami, nie ukrywali takich błędów lub doznanych zawodów, których wykrycie jest płodnem dla nauki samej, aby popularyzacya tej ostatniej nie miała wyłącznie na celu podania do wiadomości tego, co nauka zdobyła, ale i *jak* to zostało zdobyte, jaka jest wartość względna tych lub innych zdobyczy, jednym słowem aby popularyzacya nauki dążyła możliwie do wyrobienia myśli krytycznej, wolnej od doktrynerstwa i zaślepienia.

Człowiek uczy się przez całe życie, zaczyna jednak uczyć się w dzieciństwie i wtedy właśnie w samym początku jego zetknięcia się z nauką winien on ją poznawać we właściwym świetle. Jeżeli uprzytomnimy sobie, w jakiej formie nauka jest zwykle podawaną czy to dzieciom, czy to starszym, czy wreszcie dorosłym, będziemy musieli przyznać, że w kierunku wytworzenia właściwego poglądu na naukę nie robi się prawie nic, że wszędzie mamy przeważnie do czynienia z pewnymi falsyfikatami „pedagogicznymi“. — Wiadomości naukowe są podawane katechizmowo, zgóry wszelkie powątpiewania są odrzucone, nauka jest przedstawiana, jako pewien absolut. Cóż więc dziwnego, że wiadomości o tem lub innem jej niepowodzeniu budzą wątpliwości co do całej jej wartości—nauka przestaje być ideałem, spada z nieba na ziemię. Tymczasem gdyby ludzie od dzieciństwa przyzwyczajali się widzieć ją nie w sztucznem lecz naturalnem świetle, gdyby im wskazywano nie urojoną, lecz rzeczywistą jej potęgę, gdyby właśnie przez wskazywanie napotykanych trudności uwydatniano doniosłość rezultatów zdobytych, wówczas wszelkie braki i niepowodzenia badań naukowych nie mogłyby działać na nikogo zniechęcająco, wytwarzałby się inny wprawdzie niż dziś, ale trwalszy za to i zdrowszy pogląd na naukę—wielkość i potęga jej przestałyby być bańką mydlaną, która pryska za byle podmuchem.

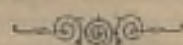
Co więcej, wytwarzałby się inny niż dziś sposób myślenia.—Człowiek wyrabiałby w sobie od lat najmłodszych przekonanie o względnej wartości wszelkich uproszczeń teoretycznych, gdy dziś tymczasem traktuje on te uproszczenia dosłownie. Poznając jakąkolwiek kwestyę w zarysie, pamiętałby on, że prosta forma wykładu tej kwestyi nie może być jeszcze utożsamioną z prostotą samej kwestji. — A dziś? Ileż to mamy „wyrobionych“ przekonań na podstawie przeczytania paru broszur! A dla czego? Bo ci, którzy je czytali, przyzwyczajeni są do katechizmowego traktowania podanych wiadomości, zaś ci, którzy „popularyzują“ oczywiście nie mogą oznaczać rzeczy wątpliwych, a podają wiadomości ładnie zaokrąglone.

Nie o pojedyńczą książkę lub wykład mi chodzi, lecz o system cały, o cały stosunek ogółu ludzi do nauki. — Stosunek ten jest w dalszym ciągu niewłaściwy, a mógłby być inny—byle pokonać ustaloną pod tym względem tradycyę.

Słyszałem także, że wprowadzenie pierwiastku krytycznego może zedrzeć urok, który bez tego miałaby nauka. O jaki jednak tu urok chodzi, czy koniecznie o sztuczny? Można go znaleźć i wykazać w nauce tam, gdzie on rzeczywiście jest, a nie tam gdzie go niema i gdzie trzeba go sztucznie rozdmuchać. — Krytycyzm zapału nie gasi, nadaje mu tylko właściwy kierunek.— Idzie on w parze z rozwojem samodzielności i twórczości, a co może bardziej podniecać do czynu, niż wyraźna świadomość celu i poczucie własnej siły.

Oby uczeni szli w popularyzacyi nauki za przykładem Dubois-Reymonda!..

St. Kalinowski.



Przeciw gruźlicy.

Profesor Józef Levi z Medyolanu zawiadomił listownie króla Wiktora Emanuela, że odkrył nowy, niezawodny środek przeciw gruźlicy; w artykule przedstawił on naturę tego środka wraz z przeprowadzonemi przez siebie doświadczeniami i otrzymanymi z nich wynikami.

Przed 20 laty profesor Bouley zwrócił myśl jego w kierunku badań nad możliwością zużytkowania jodu, jako środka leczniczego przeciw gruźlicy. Od tej chwili profesor Levi oddał się cały poszukiwaniom sposobów praktycznego urzeczywistnienia tych przypuszczeń. Przedewszystkiem nasuwały się dwie trudności: w jaki sposób wprowadzić jod do ciała chorego i jaką postać nadać lekarstwu, posiadającemu własności tak bardzo drażniące? Nie można było myśleć o bezpośredniem stosowaniu go u ludzi z takim skutkiem, jak u zwierząt właśnie z powodu tego drażniącego działania na tkanki, które po za tem nie podlegały żadnej zmianie bez względu na sposób wprowadzenia lekarstwa do organizmu. Wstrzykiwanie metodą prof. Durante w Rzymie dało się zużytkować tylko przy leczeniu gruźlicy zewnętrznej czyli chirurgicznej. Probowano różnych preparatów jodu jak: jodoform, jodol, aristol itd., ale żaden z nich nie dał wymagalnych rezultatów leczenia. Wobec tych niepowodzeń postanowił profesor Levi przekonać się, jakie jest zachowanie się jodu tak w organizmie człowieka zdrowego, jak chorego i jakie zmiany wywołać on w nim może. Zaraz na początku doświadczeń ujawniła się rzecz bardzo ciekawa: we krwi zwierząt, którym jod zastrzyknięto, w ciągu dwu do trzech dni już żadnego nie znajdowano po nim śladu, ale surowica z nich dobyta posiadała własności niezwykle bakteryobójcze; wedle wszelkiego prawdopodobieństwa i zdolność leczniczą zawierać też musiała. Levi zaczął przeto probować jej mocy naprzód na zwierzętach, a potem na ludziach.

W rezultacie działanie surowicy okazało się niedość silnem, ażeby zpowodować zupełne wyleczenie z gruźlicy. Doświadczenia doprowadziły jednak do wniosku, że tylko wtedy jod może dać uzdrowienie, jeżeli wprowadzony do organizmu nie wywoła żadnych objawów drażniących oraz chemicznego rozkładu w obiegu krwi, jeżeli tą drogą dostawszy się do ogniska zarazy, wniesie tam te własności żywicielne i odporne, które zło mogą zwalczyć i w zupełności unicestwić.

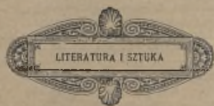
W końcu udało się profesorowi Levi wynaleźć dlań taką postać, która umożliwiała wprowadzenie samego jodu wewnątrz organizmu, a więc i działanie jego przeciwtrujące i antiseptyczne, wiodące ostatecznie do zupełnego wyleczenia.

Jod, poddany tej przemianie. traci własności drażniące, trujące i zostaje przez organizm wchłonięty. Wstrzyknięty osobnikowi zdrowemu, pomnaża ilość czerwonych ciałek we krwi i pobudza żywotność wszystkich czynności ciała. U dotkniętych gruźlicą działanie jego nie mniej objawia się silnie: już po dziesięciu do piętnastu wstrzyknięciach gorączka zaczyna opadać, miejscowe objawy cierpienia znikają, a choremu wracają siły i zdrowie.

Co się tyczy ran i uszkodzeń tkanki, o tem można to tylko wiedzieć, co się udało zdobyć drogą doświadczeń, dokonanych nad przeżuwającemi. Po 25 do 30 zastrzyknięciach zwierzęciu choremu, sekcya pośmiertna wykazywała w ranach gruźliczych nowopowstałą tkankę łączną, zawierają ciałka krwi, a bacylusy zebrane w jedną grupę o zabarwieniu specyficznem. Wobec tej całkowitej przemiany materyi gruźliczej można snuć wnioski, że organizm znajdował się w pewnem studyum wyzdrowienia, które i ranom zabliźnienie przynieść mogło.

W liście do króla włoskiego profesor Levi oświadcza: „Faktem jest uznanym, że jod może w jednej chwili silny i śmiertelny „virius" w środek leczniczy przeistoczyć, że gruźlicą dotknięci ludzie *sami w sobie i sami z siebie* mogą wytworzyć surowicę, posiadającą własności uzdrawiające, jeżeli wprowadzić jod do ich krwi."

Metoda profesora Levi jest bardzo prostą, polega ona na wstrzykiwaniu w tkankę mięsną jodu rozcieńczonego wodą dystylowaną. Tę operacyę organizm znosi bardzo dobrze, nie spowodowywa ona ani wrzodów, ani zatorów we krwi.



RACHILDE.

Jesteśmy podobno ludźmi przecywilizowanymi. Długowiekowa kultura wysubtelniała i ochładzała jednocześnie naturę ludzką. Pierwotny ogień ujęty został w przeróżne „koszulki" powiększające i regulujące jego światło. Kunszt coraz więcej wypiera bezpośredniość prostoty. Stopniowe wyczulanie wrażliwości odbywało się i odbywa łącznie z rosnącym procesem uświadamiania stanów psychicznych. Marzony mąż odrodzeniowy niegdyś podobno czuł w swoich żyłach kipiącą krew, w mózgu—jasność i ciszę lub burzę, szalał, walczył, śmiał się całą piersią, idąc za głosem wewnętrznego pędu, lecz nie wiedział o jego istnieniu, nie łączył mózgowych objaśnień z przejawami życia, nie nakładał na wszelkie porywy szału czy rozmodlenia — etykiety, tłomaczącej przyczyny i skutki. Dziwne marzenia—są one wspólnem echem dni dzisiejszych. Melodyę ich napotkać można u przeróżnych poetów; są to marzenia o jednolitem wchłanianiu słońca, o bezpośrednim odruchu myśli, o życiu żyć, o jasności i prostocie nierozkładalnej bytu.

Mózgowość współczesna najsilniej może wypowiedziała się w poezyi. Francya i dziś w rozwoju intelektualno-artystycznym przoduje innym, przeto i w sztuce jej najwymowniej odzywa się owa przewaga pierwiastku refleksyjnego. Zresztą, słusznie utrzymują, że leży ona w charakterze Francuzów. W istocie, skupienie uczucia, jako oręża myśli, budującej horyzonty artystyczne, wyczuć można już u wielkich klasyków francuskich XVII wieku. Dziś pierwiastek ten stał się wyrazistszym, może dla tego, że dzieci kultury długich stuleci wyszkoliły niezwykle swój umysł, rozszerzyły swoją poznawalność na to, co było dotąd głoszone, jako niezbadane, nieznane, i zniosły mur graniczny między czuciem a odczuciem i odtwarzaniem. Dziś sztuka uzewnętrznia wszelkie znane jej wędrówki ducha, usiłując oddać szepty i cieniowania, jakich umysły (lecz nie serca) nie znały. A jutro? — Zapewne ci, którzy tworzyć będą piękno, uznają dzisiejszość za niezłożoną i mało świadomą.

Przewaga pierwiastku refleksyjnego wywołała naturalnym biegiem rzeczy reakcyę. Kultura nasza, wysuwając na plan pierwszy uwielbienie kunsztu, podporządkowała władzy koncepcyi myślowo-abstrakcyjnych impulsywność wulkaniczną twórczości. Z całą świadomością przeróżni poeci naginają swoją mowę do przyjętego moto całego swego życia. Uczoność bierze chwilami górę nad siłą bezpośredniości. Reakcya przeciw temu ogólno - artystycznemu prądowi daje się coraz mocniej odczuwać; świadczą o tem choćby niemilknące głosy uwielbienia dla „spontanéité", dla samorzutnego natchnienia, dla szczerości bezwzględnej. Reakcya przeciw niemu jest poezya Rachilde'y. Poezya — tak, czysta i szczera, poezya jednolitości złożonej natury dzisiejszego człowieka, mowa porywów kobiet XX w., porywów zalotnych a świeżych, promiennych; poezya znużenia i tęsknoty, wstrętu i marzycielskiego roześnienia. Są to dźwięki wyczulonej struny, lubującej się w pieśni, którą przeciętni zowią wymuszonem dziwactwem lub niedorzecznością, w pieśni kapryśnej, lubieżnej, lecz lubieżnością cichą, lubieżnością pantery lub anioła. Rachilde, to połączenia przeróżnych tonów pokolenia przemózgowionego z świeżością pól i lasów, to zapach ziół, hodowanych w cieplarni, których aromat daje dziwnie odurzającą mieszaninę woni różnych kwiatów razem zgromadzonych z przeróżnych stref słonecznych. Szczerość jej to nie otwartość „pierwotnego" dziecięcia wsi, lecz nieznoszący przymusu pęd synów kultury, przepojonej refleksyą i pomysłami abstrakcyjnymi. Dziś ludzie żyją myślą, jak płuca powietrzem; i na tem tle powstaje owa szczerość egzotyczna.

Camille Lemonnier w przedmowie do powieści Rachilde'y: „La sanglante ironie" pisze o niej: „wydaje mi się ona jakimś demonem rozdrabniającym, przeznaczeniem którego psoty są przekorne; warzy ona w kotłach potępiane, cudackie rzeczy, lecz końcem palców rzuca na płomień szczyptę czerwonego proszku i on wywołuje szkarłatne migotanie się ognia." Słowa trafnie oddają wrażenie, które wywiera twórczość Rachilde'y.

Przezorność ta, owa wielobarwność nadzwyczajnych błysków przeróżnych światełek, owo „kpię sobie ze wszystkiego", to tylko różnokolorowa fontanna formy. Sądzę, że właściwym upodobaniom Rachilde'y jej popędom teoretycznym (bo pomimo tysiąckrotnie powtarzanych zastrzeżeń ma ona własną teoryę) dogodziłoby ujęcie jej istoty w określenie nieco może dwuznaczne, zagadkowe, lecz tem nie mniej nader słuszne: treść jej to prosta złożoność.

Powieści Rachilde'y różnią się między sobą tylko techniką, mniej lub więcej doskonałą. Treść ich jest jedna. Dynamiki nie zna rozwój jej talentu. Twórczość jej cała oparta jest na bezwzględnem oddaniu się szeptom i szmerom wewnętrznej jaźni. Główne uczucie, będące mową jej polotu artystycznego, to—namiętność. Lecz namiętność ta jest wielce inna od tej, którą przepełniony jest prawie cały romans francuski. Namiętność Rachilde'y to lekka muzyczność pulsującej krwi, to subtelny poryw żaru duszącego piersi i palącego ciało. Nie wybucha ona lawą wulkanu, świeci raczej, jak błędne ogniki; gdzieś w oddali zabłyśnie, wabi, nęci, po chwili umyka, gaśnie; to zapłonie zdradziecko w pobliżu, to ucieka. Nie gaśnie na stałe, nawet czyni często niespodziewane spustoszenia, jakich po jej migotliwości nie można się było spodziewać. W niektórych utworach Rachilde'y miłość przybiera rozmiary jakiejś pieśni tragicznej, jakiegoś fatum. Przypomnijmy sobie powieść „Menette". Nie należy ona do najlepszych prac Rachilde'y. Lecz jakże silną jest w niej owa melodya, jak zrywającą wszelkie tamy i przeszkody.

To jest główny zasadniczy ton twórczości Rachilde'y. W jednej z ostatnich swoich powieści (Les dessous), maluje ona na tle kwiatów i łąk tę samą śpiewkę, którą rzuciła w pierwszych poczynaniach. A wszędzie barwi miłość w nadzwyczajne kolory. Otacza kwiatami, przepaja ich wonią, oblewa niezwykłem światłem. Wszędzie usiłuje podchwycić w niej tajemnicę istnienia.

(D. n.)

Zbigniew Brodzki.

NOWE KSIĄŻKI.

Józef Weyssenhoff — **Syn marnotrawny**—Warszawa, 1905 r.

Powieść, jak tysiąc innych. Autor jej przypomina owego jegomościa, któremu niegdyś niechcący wyrwało się jakieś dowcipne słówko, i który dzięki temu przypadkowi zyskał na całe życie sławę dowcipnisia. Z wielką wrzawą i głośnemi fanfarami uznano p. Weyssenhoffa za wielkiego krytyka. Satyra jest to rzecz bardzo piękna i głęboka, lecz nie każde przymrużenie oczu i bąknięcie pod nosem utartego konceptu jest satyrą. Autor opowiada nam o tem, co się dzieje w świecie tak zwanym eleganckim z pewną nonszalancyą, z uśmiechem hrabiego, który stanąwszy przed wyborcami klasy mieszczańskiej, pozwala im się domyślać, że i jego niejedno śmieszy w „wyższej" sferze. Satyra o tyle należy do dziedziny piękna, o ile posiada przymioty, które je tworzą: głębię, napięcia, rozmach i siłę. Tymczasem tego w powieści niema wcale.

Psychologia jej bohaterów jest wprost marna, nudzi swoim szablonem. Ci hrabiowie, margrabiowie i ich panie są maryonetkami, powtarzającemi wyuczone teksty. Jeden z nich ma być namiętny, inny głupi, trzeci poważny i rozsądny, to znów trzpiot, lecz człowiek porządny itd. Pani Oleska—to ideał w spódnicy, a Dubieński niby ironicznie rysowany—przedstawiciel złotej młodzieży. Może pan Weyssenhoff oburza się szczerze na podłostki swych znajomych, lecz cóż to nas obchodzi? Maluje on sceny mające być bardzo gorącemi, lecz na palecie jego niema ani jednej szczerej barwy. Spostrzeżenia są w większości wypadków trafne i słuszne, lecz nie wychodzą po za obręb szablonu. Powieść dziś doszła do tego stopnia rozwoju, że stała się prawdziwem dziełem sztuki. Treść jej, to treść duszy ludzkiej A duszę ludzką chcemy poznawać coraz głębiej, coraz silniej. Jest ona dziś dla nas zagadką przeczuwaną, której całości myślowo ująć nie możemy, lecz odczuwamy jak cichą muzykę, jak światło subtelne. Tymczasem ta dusza ludzka dla p. Weyssenhoffa jest tak niezłożona i prosta, jak dla powieściopisarzów za czasów Kraszewskiego. Dla jego oczu zamknięte jest wnętrze dusz, on tylko opowiada co robił p. Dubieński, i jak przyjmowała jego zaloty p. Oleska. Czem są ci ludzie? jakie jest ukryte w ich głębiach piękno? pozostaje to dla nas tajemnicą. Są to automaty, wykazujące pewne ruchy podług uznanej normy. Język p. W. jest gładki, poprawny, lecz jak i cała jego powieść—przeciętny, mało indywidualny. *Zb.*

SPRAWY EKONOMICZNE

O strajku górników belgijskich

Potężny strajk 260,000 górników niemieckich musiał wpłynąć w znacznym stopniu na inne ośrodki przemysłu węglowego, najsilniej jednak odczuły go belgijskie okręgi górnicze. Wstrzymanie produkcyi w kopalniach niemieckich było sygnałem podniesienia do maximum produkcyi kopalń belgijskich. W parę dni po zawieszeniu robót w Rühr i Westfalii powstało tak wielkie zapotrzebowanie węgla belgijskiego dla Niemiec, że belgijskie koleje państwowe nie mogły podołać odstawie szybko wzrastających obstalunków, chociaż, wysyłały w przeciągu jednego dnia daleko więcej wagonów z węglem, aniżeli przedtem w przeciągu całego tygodnia zimowego. Nastąpiła dezorganizacya obsługi na tych kolejach. Korzystając z rozbrojenia konkurentów zagranicznych, kapitaliści belgijscy podnieśli ceny węgla na rynkach niemieckich, wzmocnili swoje pozycye na rynku paryskim i zaczęli szturmować do utraconych w Holandyi.

Ale fortuna kołem się toczy: kapitalistów belgiskich czekał ten sam los, jaki spotkał kapitalistów niemieckich. Ażeby zaspokoić potrzebę rynków węglowych, właściciele kopalń belgijskich zaczęli zmuszać swych górników do nadmiernej pracy, nie przerywając produkcyi węgla ani w nocy, ani w święta. Wygłodzeni górnicy, którym w przeciągu ostatnich miesięcy stale obcinano płacę i dawano zajęcie tylko cztery lub pięć dni w tygodniu, widząc mnożące się zyski pracodawców, zażądali podwyższenia płacy.

Początkowo nie chcieli oni wszczynać strajku. Gdy jednak wszystkie środki pokojowego załatwienia sporu nie pomogły, gdy na piśmienne i ustne propozycye, robione przez komitet syndykatów górniczych w celu porozumienia się z właścicielami kopalń, ci ostatni odpowiedzieli pogardliwem milczeniem, lub groźbą obniżenia płacy—dopiero wtedy po lewej stronie Renu wybuchł olbrzymi strajk, który trwał przeszło miesiąc, od 5 lutego do 12 marca.

Nowe życie zawrzało w szerokim pasie przemysłu węglowego, który przebiega wszerz całą Belgią i łączy prawie prostą linią Valenciennes z Maestricht. Ludność robotnicza, która od paru pokoleń tylko w święta i w czasie strajków widuje słońce, zaczęła zalewać sale zgromadzeń ludowych, na których omawiano palące kwestye dnia. Wszechwładna ręka tysiącznych mas robotniczych przecięła bieg ognistej materyi, wydobywającej się w postaci rzeki z olbrzymiego krateru kopalń w Charleroi, wstrzymała ruch w Borinage, w samem sercu kraju węglowego, prawie wyłącznie zamieszkiwanego przez ludność górniczą. 17 Lutego na 96,000 robotników, pracujących w trzech okręgach prowincyi Hainaut (Borinage, Charleroi, Centrum), 75,000 robotników strajkowało, ponadto przyłączyło się do strajku prawie 5,000 górników z prowincyi Liège, gdzie 33,000 znajduje zajęcie. Ogółem—jeżeli doda się tych robotników, którzy strajkowali tylko po parę dni a potem wracali do pracy—suma strajkujących dochodziła do 100,000 osób. Prawie pół miliona ludności robotniczej, złożonej z mężczyzn kobiet i dzieci zdecydowało narazić się na brak środków do życia w celu zdobycia lepszych warunków pracy.

Rzecz godna uwagi: niektóre żądania górników belgijskich zbiegały się z żądaniami górników niemieckich. Tak samo, jak jedno z naczelnych żądań tych ostatnich, było identyczne z projektem prawa, uchwalonym przez parlament francuski, który skraca dzień roboczy w kopalniach do 9 godzin w 1905 roku, do $8^1/_2$ godzin w 1906 roku i do 8 godzin 1907 roku.

Żądania górników belgijskich były następujące:

1) Zwiększenie taksy płacy dla wszystkich kategoryi robotników, pracujących w kopalniach.

2) Regulowanie taksy płac podług skali ruchomej. (System przyjęty w Anglii, na którego podstawie płace są zależne od cen węgla i zysków właścicieli kopalń, zwiększają się, gdy podnoszą się ceny węgla i wzrastają zyski pracodawców, a zmniejszają z upadkiem cen i zysków od kapitału. Oprócz tego oznaczone jest minimum płacy, poniżej którego nawet przy najgorszym stanie rynku płaca upaść nie powinna).

3) Utworzenie w każdym okręgu górniczym sądu przemysłowego w celu usuwania starć, które powstają pomiędzy pracodawcami a robotnikami w kwestyach trwania, wynagrodzenia i bezpieczeństwa pracy.

4) Skrócenie dnia roboczego.

5) Zniesienie pracy odosobnionej.

6) Zapewnienie starym robotnikom regularnej pracy i minimum zapłaty, wystarczającej do życia.

7) Zagwarantowanie starym górnikom, niezdolnym do pracy, pensyi, wystarczającej na utrzymanie.

Duży nacisk położyli na żądanie podwyższenia płacy. Nic dziwnego, jest ona w porównaniu z ciężką i niebezpieczną pracą bardzo nizka. Średnia płaca dzienna za $10^1/_2$ godziny pracy w Borinage wynosi 2 fr. 90 ct.; w Centrum—3 fr. 30 ct., w Charleroi—3 fr. 50 ct.; w Liège—3 fr. 75 ct. Ponieważ w przeciągu kilku ostatnich miesięcy górnicy pracowali tylko cztery lub pięć dni w tygodniu, ponieważ koszta utrzymania rodziny robotniczej (pożywienie, ubranie, mieszkanie i opał) wynoszą w Belgii przeciętnie 82 fr. 5 ct. miesięcznie, to nawet najlepiej płatni górnicy z prowincyi Liège, zarabiając około 80 fr. miesięcznie, nie mogli związać końców w swoim budżecie, a większa część, zamieszkujących prowincyę Hainaut i pobierających niższą płacę, była zmuszona stale przymierać głodem.

Przed wręczeniem górnikowi tej płacy głodowej kapitalista belgijski obcina ją różnego rodzaju karami. Podług istniejącego systemu kontroli, prowadzonej w nieobecności górników na powierzchni ziemi, nakłada się karę na każdy wózek, wychodzący z szybu z węglem nieczystym. Wystarczy, ażeby znaleziono w wózku, który czasami przebiega od 3 do 4 kilometrów w źle utrzymanej kopalni, jeden kamień, by wyznaczono 10 cent. kary robotnikowi, który napełnia ten wózek. W ten sposób górnik w przeciągu jednego dnia może uledz karze od 20 cent. do 1 fr. Zażądano zniesienia tego systemu kontroli, który naprawdę jest systemem kradzieży.

Za nędzne wynagrodzenie górnicy narażeni są w każdej chwili na utratę życia. Największe niebezpieczeństwo grozi tym, którzy pracują oddzielnie. Nieraz drobny wypadek po długich męczarniach zabija górnika tylko dlatego, że jego towarzysze, oddaleni o kilkadziesiąt kilometrów, nie mogli dowiedzieć się natychmiast o tem, co zaszło. To też górnicy zażądali zniesienia pracy odosobnionej i wyznaczenia każdemu do pomocy jednego chłopca, który w razie wypadku mógłby zaalarmować najbliżej pracujących.

Najsmutniejszym jest los starych, którzy oddali swoją młodość i siły właścicielom kopalń. Takich, którzy skończyli 50 lat w zasadzie do kopalń nie przyjmują, Jeżeli zaś niektórym uda się znaleźć pracę w kopalni, to dlatego, że starym robotnikom zarządy płacą mniej, niż młodym, zmuszając ich za niższą zapłatę wypełniać robotę, przechodzącą ich siły. Górnikom, którzy utracili zdolność do pracy, kasy oszczędnościowe wypłacają stałą pensyę. Ale te pensye są tak małe, że często nie mogą wystarczyć nawet na komorne. Kasa oszczędnościowa w Mons wypłaca śmiesznie małą sumę, 5 fr. 25 ct. miesięcznie.

Dwie rzeczy zwracają obecnie powszechną uwagę w Belgii: niezmiernie nizkie płace górników i niezmiernie wysokie dochody właścicieli kopalń. Kopalnie belgijskie, podług oficyalnego sprawozdania, przyniosły dochodu w 1897 roku 38,609,300 fr., w 1900 roku 101,703,400 fr., w 1901 roku 55,027,150 fr., w 1902 roku 36,309,200 fr., w 1903 roku 33,715,350 fr.

Dochód właścicieli kopalń w przeciągu 5 lat wyniósł przeszło 265 milionów franków, czyli więcej niż 50 milionów franków rocznie. Wartość kopalń belgijskich, podług obliczeń profesora Denis'a, stanowi 110 milionów franków. Wobec tego procenta pobierane przez właścicieli kopalń są wprost niesłychane. Belgijskie kopalnie węgla prasa słusznie nazywa kopalniami złota. I ci panowie mówią, że zrujnowaliby się, gdyby podnieśli górnikowi płacę!

Ponadto górnicy żądali wprowadzenia sądu przemysłowego w każdym okręgu. Te żądania stawiają już oni od paru lat i jak dotychczas bezskutecznie. Napozór dziwnem się wydaje, że przeciwnikami sądów przemysłowych, które usuwałyby ostre starcia pomiędzy pracą a kapitałem, są sami właściciele kopalń. Sądy przemysłowe w rozumieniu górników belgijskich, powinny nietylko usuwać strajki, ale zarazem stale regułować płacę robotniczą podług systemu angielskiego skal ruchomych, oznaczyć minimum płacy w kopalniach, czyniąc w ten sposób zadość stale wzrastającej potrzebie kolektywnego regułowania stosunków pomiędzy pracodawcami a robotnikami, która staje się coraz bardziej naglącą z powodu rozszerzania się trustów węglowych. Na zbiorowe wystąpienie właścicieli kopalń, górnikom pozostaje jedyna odpowiedź: zbiorowa obrona ich interesów.

Górnicy za pośrednictwem swych przedstawicieli żądali początkowo od ministra przemysłu, a następnie w parlamencie zwołania natychmiast sądu przemysłowego, któryby rozpatrzałby całokształt ich żądań i przyśpieszył zakończenie strajku. Naprożno. Trzy sekcye parlamentarne, poświęcone tej sprawie nie wydały żadnego rezultatu. Większość klerykalna parlamentu belgijskiego dowiodła tylko jeszcze raz, że broni interesów nie robotników, nie przemysłu a przemysłowców, że w kwestyi polityki społecznej stoi niżej nawet od rządu niemieckiego, który przyznał słuszność niektórym żądaniom robotników niemieckich, identycznym z żądaniami górników belgijskich, że ster rządów musi wypaść z jej rąk.

We wszystkich sferach społeczeństwa belgijskiego powstało wielkie oburzenie z powodu uporu właścicieli kopalń i z powodu zachowania się rządu, który na żądanie górników zwiększenia płacy zwiększył liczbę policyi w okręgach górniczych, zamiast pogodzić robotników z pracodawcami, jeszcze bardziej zajątrzył spór. Oburzenie było tak wielkie, że nawet burżuazya wysłała petycye, nawołujące rząd do zwołania sądu przemysłowego. W sferach kupieckich utworzono listy składkowe dla strajkujących górników.

Dowodem słuszności żądań robotniczych jest również fakt, że w strajku belgijskim, tak jak przedtem w Niemczech, przyjęli udział robotnicy różnych partyj, zaczynając od katolików, kończąc na demokratach społecznych.

Górnicy belgijscy przegrali strajk. Pomoc kooperatyw, twierdz ruchu społecznej

demokracyi belgijskiej, które dostarczały strajkującym chleba, zasoby kas wzajemnej pomocy i kasy syndykatów górniczych, składki, zbierane wśród wszystkich robotników belgijskich, nie mogły przez czas dłuższy podtrzymywać olbrzymiego strajku.

Zasługą jego jest wzmocnienie w szerokich masach robotniczych świadomości o potrzebie silnej organizacyi syndykalnej, bez której wszystkie wysiłki górników w celu polepszenia warunków życia pozostaną bezowocne. Istniejące obecnie syndykaty górnicze, liczą stosunkowo więcej członków, aniżeli inne syndykaty belgijskie, a jednak są jeszcze za słabe, by przeprowadzić jakąś reformę poważniejszą.

W Belgii są trzy kategorye syndykatów górniczych: katolickie, antiparlamentarzystów i demokracyi społecznej. Katolickie, stworzone dla walki z demokracyą społeczną, i antiparlamentarzystów są tak słabe pod względem liczby członków, że zupełnie nie figurują w ostatnim spisie syndykatów górniczych. Najsilniejsze syndykaty posiada demokracya społeczna. Liczba członków federacyi syndykatów górniczych, należących do niej wynosi, podług spisu 1902 roku, 55,000 robotników, co stanowi przeszło 42% wszystkich górników belgijskich. W skład federacyi syndykatów demokracyi społecznej, wchodzi tajna organizacya górników, która występuje pod nazwą „Rycerzy pracy", stanowiąca przeżytek wobec dzisiejszych stosunków zachodnio-europejskich. Ustawa i liczba członków tej organizacyi jest trzymana w ścisłej tajemnicy. Tylko nieliczni wybrani znają jej działalność.

* * *

Echo strajku belgijskiego odbiło się w Holandyi. Przypomniał on społeczeństwu holenderskiemu, że ono również posiada górników, którzy cierpią nędzę w prowincyi Limbourg, opanowanej przez klerykałów. Syndykaty górników holenderskich, prowadzone na pasku przez partyę katolicką, przez cały czas swego istnienia nie uczyniły i nie próbowały nić uczynić dla robotników. Na wiadomość o strajku belgijskim przedstawiciel społecznej demokracyi holenderskiej, Van Kol, wniósł w parlamencie żądanie skrócenia dnia roboczego do 8-iu godzin. Wniosek jego upadł, otrzymawszy nieznaczną mniejszość.

Iwiński.

Życie publiczne w Rosyi.

Czytamy w *Rusi*. „Spór społeczeństwa rosyjskiego z polskiemześrodkowuje się obecnie dokoła zagadnienia, jak daleko powinna rozciągać się sfera używania języka państwowego i miejscowego, to znaczy—polskiego. Wśród tego sporu, wydaje się jednak, że my się niezupełnie rozumiemy wzajemnie. Pochodzi to stąd, że się zwalczamy, jakoby w powietrzu, nieposiadając twardego gruntu pod nogami.

Gdyby w Królestwie Polskiem przeprowadzona była pewna granica używania języka państwowego, gdyby ona wynikała z dokładnie wyrozumowanej konieczności państwowej, oraz była ustalona przez określone prawodawstwo—to położenie obecne nie byłoby tak ciężkie. Możnaby wówczas porównywać nasze normy prawne chociażby z pruskiemi; przeprowadzić to porównanie na korzyść porządku, istniejącego w Królestwie Polskiem; możnaby dowodzić, że, jakkolwiek upośledzone jest położenie naszych obywateli Polaków, to jednak niema u nas takiej systematyczności nieubłaganej i wszechstronności ucisku; możnaby wykazywać, że naród rosyjski wcale nie dąży do bezlitośnego wytępienia narodu polskiego, jak to czynią Niemcy.

Niech jednak kto spróbuje przekonać o tem jakiego Polaka. W odpowiedzi na fakty najwymowniejsze spotka się on z argumentem ogromnie poważnym, o jaki wszystkie dowodzenia się rozbijają. Polacy odpowiedzą: „To prawda. W Prusach pętla, dusząca nas, zaciągnięta jest mocno, i my tam zginąć możemy. Jednakże w tych samych Prusach my posiadamy możność zapewnioną walczenia o utrzymanie wiszącego na włosku życia i prowadzimy naszą walkę na gruncie tego samego prawodawstwa, które się przeciwko nam zwraca. Prusy wydają coraz to nowe prawa drakońskie, ażeby nas zgnębić: jednakże po za granicami tych praw na gruncie legalności powszechnej, z której korzystają wszyscy obywatele, my się możemy bronić, my możemy krzyczeć, protestować głośno w obliczu całego świata. Zupełnie inne położenie jest w Rosyi. Świętym skarbem dla każdego obywatela są jego prawa. Nietylko wolno mu, lecz nawet powinien on ich bronić. Jest to jego obowiązkiem wobec państwa i jego ustroju prawnego. Oto prawda, o jakiej każdy Polak usłyszy na pierwszym wykładzie wydziału prawnego w uniwersytecie. W życiu jednak spotka się on chyba tylko z urąganiem tej prawdzie.

W życiu Polak, rosyjski poddany — jak zresztą, w mniejszym tylko stopniu my wszyscy—pozbawiony jest tego twardego gruntu legalności, na jakim jedynie tylko możliwe jest pracować i kwitnąć. Zewsząd—zamiast jasnego, stałego, obowiązującego wszystkich prawodawstwa — otacza go grząskie trzęsawisko upartego, urzędniczego przeciwdziałania, wszędzie bezapelacyjne, najczęściej nieumotywowane „nie pozwalam". Prawdziwie polskie „liberum veto", przetłomaczone na język biurokratów rosyjskich!

Oto np. uciążliwe jest dla Królestwa Polskiego wyłączne używanie języka państwowego w stosunkach społecznych, szczególniej dla warstw niższych, nieposiadających, go dokładnie, więc dla sądów gminnych, zebrań gminnych itp.

Otóż ten właśnie brak wszelkiego gruntu prawnego pod nogami szczególniej jest zgubnym w stosunkach polsko-rosyjskich. Czas już położyć kres wszelkim widzi-mi się; czas już ustalić prawne najzupełniej stosunki.

Tak jest zagranicą. A u nas?

Czy my z innej gliny ulepieni?

Czy ustrój prawny i legalność powszechna dla życia państwowego nie są tem powietrzem, bez którego żadna istota żywa nie może oddychać?"

Pod tytułem „Polska tolerancya" *Now. Wremia* zamieszcza, w formie korespondencyi z Chełma, ostry artykuł przeciwko unitom na chełmszczyznie, który przytaczamy tu w całości.

„Pogłoski o tolerancyi religijnej—pisze korespondent—szybko przeniknęły do mas ludowych, które w Królestwie Polskiem zrozumiały tę tolerancyę bardzo oryginalnie. Tolerancya w pojęciach nieoświeconego tłumu zamieniła się w zupełną swobodę przemocy w stosunkach katolików i opornych unitów z prawosławnymi.

„Trudno sobie wystawić, ażeby w państwie z panującem wyznaniem prawosławnem, prawosławni mogli być narażeni na cierpienia, jak dawni chrześcianie w grecko-rzymskiem imperyum za czasów prześladowania chrystyanizmu. Tymczasem jest to fakt, który dzieje się w oczach wszystkich mieszkańców Nadwiśla, a nawet w takich rosyjskich oazach w tym kraju, jak Chełm w gub. Lubelskiej. Całe tłumy t. zw. opornych unitów, albo jak ich lud nazywa, kałakutów, przybywają do katedralnego duchownego i do biskupa z żądaniem, by im dano pełną swobodę wyznania, by im pozwolono być katolikami i zapisywać się jako katolikom, ponieważ sam Monarcha tak postanowił, jak o tem piszą w gazetach. Gdy prośbie ich nie stanie się zadość, grożą pasterzom prawosławnym, nauczycielom szkół ludowych i włościanom, którzy uczęszczają do cerkwi. Duchowni otrzymują anonimowe listy z pogróżkami śmierci, włościanie zaś prawosławni narażeni są na szykany: grożą im podpaleniem, zniszczeniem mienia, inwentarza, a nawet zabójstwem, i za cóż to?—za to tylko, że są prawosławnymi, chodzą do cerkwi, a nie do kościoła. Grożący nazywają wiarę prawosławną, Chrystusa i krzyż — schizmatyckiemi, nabożeństwo cerkiewne i sakramenty — złemi, gdyż dokonywane są przez duchownych prawosławnych, a cerkwie — żydowskiemi synagogami.

„Od takich szykan i pogróżek, nieraz urzeczywistnianych, nie są wolni nawet członkowie jednej rodziny, np. dzieci uczęszczające do szkoły i do cerkwi i inni członkowie rodziny według osobistych przekonań skłaniający się więcej do cerkwi, niż do kościoła. Używa się przytem wszelkich środków przemocy, które cel usprawiedliwia według jezuickiej zasady

„Ażeby poniżyć wiarę prawosławną przeciwnicy jej nie krępują się nawet szkalować ją publicznie z ambony, podczas gdy pasterzom prawosławnym w obronie swej wiary i swej owczarni nie wolno jest uciekać się do jakichkolwiek środków, sprzeciwiających się czystej nauce chrześciańskiej i godności prawosławnej wiary, i za wszelkie uchybienie temu zakazowi podlegają oni surowym karom aż do usunięcia z zajmowanego stanowiska.

„Ponieważ zaś w pojęciach ludu każdy prawosławny jest Rosyaninem, a katolik Polakiem, to czy takie prześladowanie prawosławia nie uchybia także narodowości rosyjskiej, i tak już zgnębionej nawet w zakątkach rodzinnych, gdzie wnukowie mówiący po polsku, z pogardą odzywają się o swoich dziadach, że jeszcze po dawnemu używają mowy rosyjskiej?

„Trzeba więc zastanowić się dobrze nad tem, co się tu dzieje pośród ludu, ażeby nie zniszczyć jeszcze i tych słabych resztek żywiołu rosyjskiego, które utrzymały się dotychczas dzięki swej wytrzymałości, pomimo wiekowego, złośliwego prześladowania ich ze strony przeciwnej. A w zniszczeniu tem—kto winę ponosić będzie i dla kogo, i na co potrzebna jest ta wielka ofiara narodowa?".

Szereg typowych przykładów ze stosunków cenzury przytacza p. Rusakow w *Nowostiach*, opowiadając o głośnych czynach pewnego, dobrotliwego—jak się wyraża—cenzora W. „Słabością tego cenzora — powiada autor cytowanego artykułu — było zaopatrywać artykuły w dopiski, pochodzące rzekomo od autora lub tłomacza. Pewnego razu w liście Buckle'a, przytoczonym w przekładzie z pewnego artykułu angielskiej gazety, znajdowało się takie zdanie: Dla państwowych działaczy nietyle potrzebne są nabyte wiadomości i wykształcenie, co rozum i uczuciowość, a tych zalet właśnie brak wielu mężom stanu". Cenzor zrobił dopisek od autora: „Stosuje się do Anglii".

W recenzyi pewnej książki było powiedziane: „Polecamy tę książkę wszystkim uczącym się i nauczającym." Cenzor wykreślił te wyrazy, dodając na marginesie: „Polecać książki ma prawo tylko uczony komitet ministeryum oświaty."

Występując w obronie moralności, W. nie pozwalał zamieszczać pomiędzy ilustracyami zdjęć z klasycznych posągów; obok jednego zaś wizerunku Wenery zrobił dopisek: „Dozwolone pod warunkiem, że artysta doda liść figowy." Redaktor musiał pojechać do cenzora, by go poinformować, że twórca tego posągu przed tysiącami lat już przeniósł się do lepszego świata i że niepodobna go z grobu przywołać. Cenzor z całym spokojem odpowiedział: „Pocóż więc drukujecie taką starzyznę! Wówczas to było możliwe, bo ludzie chodzili nago, a teraz to zupełnie nie na czasie".

Sprawiedliwość wyznać nakazuje — dodaje p. Rusakow—że cenzor z dobrodusznym uśmiechem zaraz dodał: „Mówię to panu jako cenzor i komunikuję panu urzędowy punkt widzenia mojej władzy przełożonej."

Syn Otieczestwa pisze: „Projekty ministeryum skarbu o normowaniu dnia roboczego

i o bezrobociach, wnoszone do komisyi pod przewodnictwem ministra skarbu W. N. Kokowcowa — nakreślają następujące zmiany w istniejących obecnie przepisach prawnych:

Dla robotników, pracujących wyłącznie w dzień, należy czas roboczy skrócić z $11^1/_2$ do 10 godzin. Dla robotników zaś, pracujących, chociażby tylko częściowo także w nocy, czas roboczy nie powinien przekraczać 8-iu godz. Specyalne normy dla robót nieustannych należy znieść, a natomiast podciągnąć te roboty pod normy ogólne. Przytem, w miarę potrzeby rzeczywistej, względem robót tej kategoryi można odstąpić od przepisów o obowiązkowem pozostawieniu robotnikom wypoczynku świątecznego nietylko w tych wypadkach, kiedy robotnicy są zajęci przeciętnie nie więcej, niż 8 godzin na dobę, co w praktyce doprowadzi do ustanowienia trzech zmian robotników. Jest proponowane zastosowanie tego systemu do robót pomocniczych nieograniczonych dotąd żadnemi normami. Dla tej kategoryi ogólna ilość godzin roboczych w ciągu dwóch dni z rzędu nie powinna przewyższać dla każdego robotnika 24-ch; w ciągu zaś tych dwóch dni, na które przypadają zmiany—30. Prócz tego każdy robotnik powinien być wolny od pracy w ciągu 24 godzin z rzędu, najmniej cztery razy na miesiąc.

Roboty pozaobowiązkowe, niezależne od liczby robotników, biorących w nich udział, powinny być wzbronione z wyjątkiem tylko szczególnych wypadków, w których roboty te mogą być dozwolone z decyzyi odpowiednich organów nadzorczych.

W szelkie istniejące postanowienia charakteru ogólnego, wydane w porządku administracyjnym, zaprojektowano wciągnąć ze zmianami powyższemi do prawa.

Ulegalizowanie i bezkarność zmów proponowane jest w formie następującej:

Niedotrzymanie umowy o najmie nie może być ścigane na drodze karnej. Naruszenie ich strony materyalnej podlega kompetencyi ogólnego sądu cywilnego. Naruszenie zaś strony formalnej podlega sądowi administracyjnemu. Karane kryminalnie mogą być tylko gwałty lub pogróżki podczas zmów, dotyczące osób albo majątku. Odpowiedzialność zarówno cywilna, jak i karna, powinna dotyczyć w jednakiej mierze zarobkodawców i robotników. Sam fakt przerwania roboty nie może być uważany za zakłócenie porządku publicznego, z wyjątkiem zatrzymywania zakładów powszechnie nieodzownych. Gwałty i pogróżki mogą być ścigane nie inaczej, jak po oświadczeniu tych osób, względem których były one stosowane, jeżeli te czyny nie groziły niebezpieczeństwem porządkowi społecznemu lub państwowemu. Sprawy wszczęte na mocy oskarżenia o gwałty i pogróżki, podlegają roztrząsaniu w zwykłym porządku karnym".

Now. Wrem. podaje wiadomość o nowych zaburzeniach w Inflantach: „Z gub. kurlandzkiej, świeżo ogłoszonej w stanie wzmocnionej ochrony, napływają wciąż niepokojące wieści o rozruchach włościańskich.

W nocy z dnia 18 na 19 marca, we wszystkich dobrach ziemskich gmin: dondangeńskiej i asceńskiej w pobliżu Windawy, rozrzucono, jak pisze *Ryskij Wiestnik*, proklamacye rewolucyjne z podpisem: „Komitet windawski łotyskiego związku socyalno-demokratycznego".

Dnia 19 marca przed świątynią zgromadził się tysiączny tłum, którego przywódcy wygłosili mowy treści rewolucyjnej, poczem tłum rozwinąwszy czerwony sztandar, ruszył ku domowi właściciela dóbr.

Młodszy pomocnik naczelnika powiatu w towarzystwie 2 policyantów wyszedł na ganek i zaczął wzywać do rozejścia się. Tłum odpowiedział wystrzałami. Widząc jednak, że właściciela dóbr istotnie niema, tłum rozszedł się.

W dobrach Tolama, pow. verrowskiego, była prawdziwa bitwa. Stosunek właściciela dóbr do robotników tak się zaostrzył, że z obu stron chwycono za broń. Właściciel p. Hammer i kasyerka jego zaczęli strzelać, a włościanie pochwycili polana, noże i kije. Wynik był taki, że kilku włościan raniono kulami, policyanta nożami, a Hammera polanem. Nie zabito nikogo.

Dnia 26 marca parobcy podpalili karczmę „Lewaks", należącą do majątku Tolama. Charakterystycznem jest, że przed podpaleniem karczmy wyniesiono z niej karczmarza i że strzeżono od ognia sklep monopolowy z wódką. Oprócz karczmy, włościanie spalili młyn parowy, tartak i suszarnie, należące do Hammera.

Warsz. Dn. donosi za gazetą *Kaspij* z Baku: „W dniu 29 marca zostali zabici dozorca policyjny, książe Szymon Mikeładze i starszy policyant Stefan Jefimuszkin. Od wczesnego ranka pięciu tamtejszych krajowców, ubranych po europejsku, przechadzało się po chodniku, od czasu do czasu odpoczywając na ławce naprzeciwko naftociągu. Około godziny 9 rano od strony 5 rewiru policyjnego na szosie w kierunku ku miastu ukazał się faeton, w którym jechali ks. Mikeładze i strażnik Jefimuszkin. Gdy podjechali bliżej, nieznajomi podbiegli, zatrzymali ekwiparz i dali kilka wystrzałów z rewolweru do ks. Mikeładze i Jefimuszkinu. Pierwszy spadł z faetonu na szosę, gdzie go wystrzałami dobito, drugi ciężko ranny, usiłował uciec, lecz niedaleko od miejsca wypadku padł martwy. Na miejscu napadu znaleziono jeszcze jakiegoś człowieka krajowego pochodzenia z wyglądu, którego osobistości dotąd sprawdzić się nie udało. Inni zbiegli.

W uzupełnieniu sprawozdań o rozruchach w Jałcie *Syn Otieczestwa* zamieszcza. „Przez ulicę o godzinie 6 wieczór, przechodził szeregowiec, rezerwista pułku kozaków, ranny w wojnie na Dalekim Wschodzie. Niespodziewanie zbliżył się do niego komisarz cyrkułu p. K. i zrobił mu wymówkę z powodu, że żołnierz nie oddał mu honorów. Rezerwista odrzekł, że nie jest obowiązany oddawać honorów policyjnym urzędnikom, poczem komisarz, wezwawszy 2 stójkowych, polecił im odstawić kozaka do izby żołnierskiej na odwachu. Kozak zaczął się bronić, a wtedy na pomoc stójkowym wezwano jeszcze 2 policyantów. Przedstawiciele porządku wsadzili rannego kozaka do dorożki. W drodze do cyrkułu, krzyczał on, że będą go bić i żądał uwolnienia.

Kiedy go wysadzono i odprowadzono do kordegardy, przed bramą jej zgromadził się tłum znaczny (z powodu niedzieli wiele osób spacerowało na ulicach). Zebrani zaczęli usilnie żądać uwolnienia uwięzionego. W tej chwili do miejsca wypadku zbliża się szybko w powozie wyższy urzędnik administracyjny, N. M. Gwoździewicz. Nagle ktoś z tłumu rzucił weń kamieniem, którym rozbił mu policzek w okolicy oka. Rannego złożono w sąsiednim hotelu „Rosya".

Ogromnie podniecony tłum zaczął dobijać się do bramy cyrkułowej i rozbijać kamieniami okna. Wobec tego nacisku komisarz 2 cyrkułu polecił wypuścić więźnia. Kiedy kozak wyszedł, ujrzano, iż był pobity i pokrwawiony. Na zapytanie, kto go zbił, odrzekł, że nie wie, ponieważ bito go, zarzuciwszy szynel na głowę. Z tłumu, który tymczasem wzrósł do liczby kilkuset osób, rozległ się krzyk:

— Rozbijać cyrkuł!

W jednej chwili cyrkuł i odwach były rozbite. Komisarza przytem pobito, a więźniów wypuszczono. Poczem tłum, uniesiony żądzą niszczenia, rzucił się na sklepy...

Gubernator orlowski rozesłał, jak donoszą *Birżew. Wied.*, przewodniczącym instytucyi społecznych następujące oświadczenie:

„Zgodnie z zawiadomieniem naczelnika zarządu głównego do spraw samorządu miejscowego, zawiadamiam, że rozważanie na zebraniach ziemstw i rad miejskich wszelkich memoryałów, związanych z Reskryptem Najwyższym z dnia 3 marca, na przyszłość nie może być dopuszczonem, aż do osobnego w tym względzie rozporządzenia".



Wiadomości społeczne. Delegaci adwokatów przysięgłych Dominik Anc, Henryk Konic, Stanisław Leszczyński i Leon Papieski przedstawili generał-gubernatorowi warszawskiemu memoryał w sprawie języka polskiego w gminie. W memoryale tym zaznaczyli, że żądanie zastosowania języka polskiego w gminach jest oparte na wyraźnem brzmieniu prawa. Ukazy z 1864 r. nie nakazują używania języka rosyjskiego w gminach. Generał-gubernator obiecał rozpatrzyć memoryał uważnie i życzliwie.

— Kuratoryum trzeźwości zaprowadziło na Pradze obiady bezpłatne dla ubogich dzieci.

— Biuro Reutera pomieściło wiadomość, że sprawa zaprowadzenia wykładów polskich w szkołach Królestwa Polskiego wypadła niepomyślnie wskutek nacisku rządu niemieckiego. *Now. Wrem.* uważa wiadość za nieprawdopodobną i ukutą w celach agitacyi antirosyjskiej.

— Według urzędowego zestawienia, od 1 stycznia do końca marca r. b. przejeżdżało przez poznański główny dworzec 1335 wychodźców z Królestwa Polskiego i Rosyi, w tym samym czasie roku zeszłego tylko 620.

— Agencya telegraficzna petersburska pod datą 6 b. m. donosi z Warszawy: „Wobec projektowanego pogrzebu ofiar salw niedzielnych, dziś przed szpitalem św. Ducha zebrał się znaczny tłum Żydów i robotników. Tłum rozproszono, pogrzeb odwołano."

— W celu dania odpoczynku swym pracownikom składy narzędzi i maszyn rolniczych, oraz sklepy nasion uchwaliły zakłady swe zamykać o godz. 6 pp. Do uchwały tej przyłączyło się i warszawskie Towarzystwo rolnicze.

— *Wiek* opowiada następujące zdarzenie: W Warszawie mieszkały dwie siostry, Żydówki, starsza z nich wyjechała przed kilku laty z mężem do Buenos Ayres. Po pewnym czasie zapraszała usilnie siostrę, aby do niej przyjechała. Dziewczyna się zgodziła i pojechała. Na miejscu przekonała się, że siostra zaprosiła ją do własnego domu rozpusty. Zdążyła jednak wczas uciec, chroniąc się na przedmieściu La Rotza, nad rzeką u Żyda, który wystarał się dla nieszczęśliwej w Towarzystwie „Ezra" o wolną „szyfkartę" z powrotem do Genui, oraz na koszta podróży dalszej do Warszawy. Pieniądze wręczono kapitanowi okrętu.

— *Warsz. Dn.* pisze: Zapoczątkowana na prowincyi agitacya przeciw paleniu papierosów i piciu wódki, rozszerza się i wśród warszawskich robotników fabrycznych. Ubolewać jednak należy, że agitacyi tej nadawany jest w wielu wypadkach niewłaściwy charakter: niektórzy agitatorzy namawiają robotników do niepalenia i niepicia nie dlatego, że jest to szkodliwe lub w celach zmniejszenia wydatków nieprodukcyjnych, lecz w celu nie powiększenia dochodów skarbu.

Wydarzyło się już kilka wypadków, że do osób palących na ulicy podchodziły jakieś osobistości z żądaniem rzucenia papierosa lub cygara dla przyczyny ostatnio wskazanej, z groźbą, że „na drugi raz" itd.

Wiadomości urzędowe. Na posiedzeniu ministrów 19 i 20 kwietnia ma być rozważana kwestya polska.

Strajki. Czytamy w *Warsz. Dn.*, że w powiecie Mazowieckim w gub. Łomżyńskiej zastrajkowali robotnicy w fabrykach sukna Złotoryi i Babinie, lecz przybycie gubernatora barona Korfa i osobisty wpływ jego skłonił ich do powrotu do pracy. W powiecie Ostrowskim włościanie ze wsi Długie Siodło rzucili się na las rządowy w leśnictwie brackiem i zaczęli ścinać drzewa. To samo zaszło w leśnictwie czerwonoborskiem, lecz w obu tych miejscach zarządzenia gubernatorskie ruch stłumiły.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено цензурою Варшава, 31 Марта 1905 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.